

Kronika podróży Josepha Mendelssohna do Cieplic w 1812 roku



W TŁUMACZENIU TOMASZA PRYLLA





Kronika podróży Josepha Mendelssohna do Cieplic w 1812 roku

*Tytuł oryginału:
Chronik meiner Badereise nach Warmbrunn im Jahre
– Joseph Mendelssohn 1812*

Tłumaczył: Tomasz Pryll

2(13)/2017
Zeszyty Historyczne



Bukowiec – Cieplice 2017

Seria wydawnicza:

Zeszyty Historyczne

Cykl wydawniczy Zeszyty Historyczne został nagrodzony w Jubileuszowym XXV Ogólnopolskim Przeglądzie Książki Krajoznawczej i Turystycznej II NAGRODĄ w kategorii Informatory krajoznawcze i foldery

Redakcja

KRZYSZTOF TĘCZA

Współpraca

WITOLD SZCZUDŁOWSKI

Redakcja i wybór ilustracji zeszytu 2(13)/2017

STANISŁAW FIRSZT

Współpraca

IVO ŁABOREWICZ

Skład

Wydawnictwo-Poligrafia AD REM
www.adrem.jgora.pl

Druk

Związek Gmin Karkonoskich

Wydawca

Związek Gmin Karkonoskich
PAŁAC BUKOWIEC
58-533 Mysłakowice
ul. Robotnicza 6
www.karkonosze.eu

© by Związek Gmin Karkonoskich, 2017

ISSN 2449-741X

Zdjęcia na okładce: Chojnik, Śnieżka

Wszelkie prawa zastrzeżone. Publikacja i kopiowanie całości lub części wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy.

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

Czternasta publikacja Regionalnej Pracowni Krajoznawczej Karkonoszy przy Związku Gmin Karkonoskich w Bukowcu

Wprowadzenie

Nowy numer „Zeszytów Historycznych” odbiega nieco od ustalonej formuły. Poświęcamy go niedawno zmarłemu Tomaszowi Pryllowi – znanemu i cenionemu tłumaczowi oraz przewodnikowi turystycznemu i autorowi krajoznawczego bloga. Tomasz spoczął na cmentarzu w Cieplicach, w miejscu, z którego rozpościera się rozległa panorama na Karkonosze. Fakt ten ma o tyle znaczenie, że Tomasz, tak jak wielu z nas, zakochał się w Karkonoszach i lubił je poznawać spacerując po nich.

Tomasz, jako tłumacz, podejmował się także pierwszych tłumaczeń ciekawych, acz nieznanych szerszemu ogółowi relacji i opisów, jakie powstawały w poprzednich wiekach. Przybywający tu kuracjusze opisywali zarówno widoki, jakie otwierały się przed nimi, jak i swoje odczucia. Często bowiem to, co widzieli, było czymś, czego jeszcze nie doświadczyli w swoim życiu. Kroniki te przetrwały do naszych czasów, jednak nie są znane właśnie z powodu języka, w którym je napisano. Dlatego Tomasz wybierał co ciekawsze opisy i tłumaczył je na język polski.

W najnowszym „Zeszycie” zamieszczamy „Kronikę podróży do Cieplic” jaką odbył w 1812 roku Joseph Mendelssohn. Została ona odkryta i przetłumaczona przez Tomasza. Pracował nad nią, mając świadomość, że przegrywa nierówną walkę ze śmiertelną chorobą.

I właśnie dlatego, by Jego praca nie poszła na marne, zamieszczamy ją w niniejszym „Zeszycie Historycznym”. Pragniemy w tym miejscu podziękować Stanisławowi Firsztowi, który podjął się trudu zredagowania tej pracy oraz Iwo Łaborewiczowi, który przygotował notę o Tomku i jego dokonaniach. Dziękujemy także żonie Tomka Pani Sabinie Pryll za udostępnienie pracy męża.

Może wydawać się, że publikacja, którą oddajemy w Wasze ręce, drodzy Czytelnicy, pomyślana jako upamiętnienie Tomasza Prylla, nie oddaje do końca należnego Mu miejsca w panteonie regionalistów karkonoskich, jednak jest to uczynione z rozmysłem, jako wstęp do kolejnej publikacji traktującej o życiu i dokonaniach Tomasza.

Tym razem, poprzez zamieszczenie kroniki Josepha Mendelssohna, pokazujemy, jak wyglądały nasze góry 200 lat temu. Pokazujemy, jak były zagospodarowane, jak dbano o podróżnych, jak oni z kolei odbierali piękno tu zastane. Chcemy, by poprzez ów opis, każdy mógł porównać co się w tych górach zmieniło. By każdy zobaczył różnicę pomiędzy tamtym poznawaniem gór, a dzisiejszym ich postrzeganiem.

Zapraszamy do lektury.

Krzysztof Tęcza

Spis treści

Wprowadzenie (Krzysztof Tęcza)	3
Zamiast wstępu (Ivo Łaborewcz)	5
Cieplice z epoki (oprac. Tomasz Pryll)	9
O Autorze Kroniki (oprac. Tomasz Pryll)	10
Kronika mojej podróży kuracyjnej do Cieplic w roku 1812 (tłum. Tomasz Pryll)	12
<i>Lipiec</i>	12
<i>Sierpień</i>	26
<i>Wrzesień</i>	45

Zamiast wstępu

TOMASZ PRYLL

(03.04.1960 – 25.01.2017)

**przewodnik, wielki popularyzator Karkonoszy
i znakomity tłumacz**

Tomasz, Tomek Pryll znany był wielu ludziom przede wszystkim jako przewodnik turystyczny i autor krajoznawczego bloga, ale jednym z Jego najważniejszych zajęć było tłumaczenie. Przełożył z języka niemieckiego na język polski – w sposób znakomity – wiele bardzo ważnych dla dziejów i kultury regionu materiałów historycznych i dzieł literackich, które po wydaniu drukiem stawały się często prawdziwymi bestsellerami. Niestety, liczni czytelnicy, pochłaniając te teksty z wielkim zainteresowaniem, nie zwracali z reguły uwagi na nazwisko autora przekładu, ale taka bywa dola tłumaczenia. Jako człowiek skromny, Tomek tym się nie przejmował, chyba nawet tego nie dostrzegał, ciesząc się z możliwości uprzywilejowania tychże materiałów wszystkim miłośnikom regionu. Nie ograniczał się przy tym do tłumaczenia tekstów zleconych przez innych, ale sam aktywnie wyszukiwał interesujące, mało znane lub wręcz nie znane materiały, warte popularyzacji, skrupulatnie je przekładając. Jego przedostatnim dziełem jest publikowana właśnie, a pochodząca z 1812 roku, kronika podróży Josepha Mendelssohna w Karkonosze, którą sam odkrył i z wielką pieczołowitością przełożył na język polski.



Zmarły 25 stycznia 2017 r. w Jeleniej Górze Tomasz Pryll urodził się 3 kwietnia 1960 r. w Milanówku, przeżył więc niemal pełne 57 lat, z których znaczną część – blisko ćwierć wieku – mieszkał i działał aktywnie w Karkonoszach. Zanim jednak tu trafił, spędził wiele lat w Niemczech, wcześniej i później w Warszawie. Tu skończył różne szkoły. W 1978 r. zdał egzamin maturalny w liceum w Bremerhaven. Następnie trzy lata studiował lingwistykę na Uniwersytecie w Hamburgu, by w październiku 1980 r. – niedługo po tym, jak narodziła się „Solidarność”, wrócić do Polski do stolicy, gdzie podjął studia germanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim, przerwane w grudniu 1981 r. wraz z wprowadzeniem stanu wojennego. Po wielu perypetiach podjął wówczas bardzo elitarną pracę, a mianowicie został operatorem komputerów IBM w Centrum Obliczeniowym Instytutu Organizacji Przemysłu Maszynowego w Warszawie, gdzie pracował w latach 1983-1985. Nie zrezygnował jednak z nauki.

Gdy tylko stało się to możliwe podjął w październiku 1984 r. w trybie zaocznym studia germanistyczne (nie mógł zrezygnować z pracy, która dawała mu podstawy egzystencji) w Instytucie Neofilologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Studia ukończył w czerwcu 1986 r. uzyskując absolutorium, lecz nie przystąpił do egzaminu magisterskiego. Znów praca okazała się koniecznością przeważającą nad domknięciem ostatnich formalności.

W 1985 r. rozpoczęła się Jego zawodowa kariera przewodnicka. Najpierw został pilotem wycieczek zagranicznych w warszawskim „Orbisie”, współpracując z tą firmą aż do 2001 r. W 1993 r. przeniósł się w Karkonosze, gdzie w Mysłakowicach rozpoczął własną działalność gospodarczą, właśnie jako przewodnik sudecki (głównie dla grup niemieckojęzycznych), ale i inwestor budowlany. Jednocześnie współpracował z tutejszym Urzędem Gminy jako tłumacz języka niemieckiego. W 1997 r. został dyrektorem w firmie kamieniarskiej „NFS-Funk Piaskowiec” w Karpaczu. Z kolei w 1999 r. zajął również stanowisko dyrektora w mieszczącej się w Jeleniej Górze niemieckiej firmie „Acronis”, gdzie był jednocześnie tłumaczem.

Tłumaczeniem Tomek Pryll zajmował się zawodowo – w ramach własnej działalności gospodarczej – nieprzerwanie od 1985 r., ale w Jeleniej Górze działalność ta przybrała szczególny charakter. Rozpoczął tu bowiem współpracę z urzędami, ale przede wszystkim z instytucjami naukowo-kulturalnymi, dokonując wielu tłumaczeń konsekwentnych i symultanicznych, m.in. na konferencjach organizowanych m.in. przez Euroregion „NYSA”, Muzeum Karkonoskie i Muzeum Przyrodnicze w Jeleniej Górze. Tu zetknął się z tekstami historycznymi oraz naukowymi, stając się najważniejszą osobą w regionie uprzystępniającą polskiemu czytelnikowi niemieckojęzyczną literaturę. Zajmował się też tłumaczeniem prac polskich na język niemiecki, przez co stał się postacią znaną i popularną wśród badaczy i miłośników regionu u naszych zachodnich sąsiadów. Najbardziej znaczącym dokonaniem w tej dziedzinie jest niewątpliwie przekład kronik jeleniogórskich, dokonany na zlecenie Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze. Były to następujące dzieła:

- Johann Daniel Hensel, *Historyczno-topograficzny opis miasta Jeleniej Góry w Śląsku od jego czasów najdawniejszych do roku 1797* przez Johanna Daniela Hensela, pomysł i red. Stanisław Firszt, tłum. Tomasz Pryll, wydawca Muzeum Karkonoskie, Jelenia Góra 2005;
- Johann Karl Herbst, *Kronika miasta Jelenia Góra na Śląsku do roku 1847*, pomysł i red. Stanisław Firszt, tłum. Tomasz Pryll, wydawca Muzeum Karkonoskie, Jelenia Góra 2007;
- Moritz Friedrich Vogt, *Ilustrowana Kronika miasta Jelenia Góra na Śląsku zawierająca jego historyczno-topograficzny opis od jego początku aż po czasy obecne*, pomysł Stanisław Firszt, tłum. Tomasz Pryll i Emil Mendyk, wydawca Książnica Karkonoska, Jelenia Góra 2008;
- David Zeller, *Jeleniogórskie ciekawostki: Część pierwsza zawierająca opis sytuacji i położenia od wzniesienia miasta a także tego, co zdarzyło się do roku 1648, kiedy*

to zawarty został Pokój Westfalski. W szczególności jednak to, co opisują dawni jeleniogórcy uczeni w piśmie, pomysł Stanisław Firszt, tłum. Tomasz Pryll, wydawca Książnica Karkonoska, Jelenia Góra 2008.

A także podobne dzieło dotyczące Kowar:

- Theodor Eisenmänger, *Historia Miasta Kowary*, tłum. Tomasz Pryll i Emil Mendyk, wydawca Związek Gmin Karkonoskich, Bukowiec 2011.

W wymienionych wyżej kronikach Tomasz Pryll nie ograniczył się wyłącznie do tłumaczenia, ale dał też wiele przypisów merytorycznych, wyjaśniających sprawy związane choćby z topografią, dawnymi jednostkami miar, bądź z opisywanymi wydarzeniami.

Wybrane publikacje zwarte, w tłumaczeniu których brał udział Tomasz Pryll:

1. *Źródła pisane dotyczące Ducha Gór z Karkonoszy od średniowiecza do końca XVII*, pomysł, red. i oprac. graf. Stanisław Firszt; tłum. Emil Mendyk, Tomasz Pryll, wydawca: Muzeum Karkonoskie, Jelenia Góra 2003 [tłumaczenie na podstawie: Konrad Zacher, *Rübezahl-Annalen*, Breslau 1906 – *Schriftliche Quellen, die den Berggeist von Riesengebirge betreffen, seit dem Mittelalter bis Ende des 17. Jahrhunderts*; nach: Konrad Zacher, *Rübezahl-Annalen*, Breslau 1906].
2. *Świerzawa i okolice – Schönau und Umgebung*, pod red. Stanisław Firszt, Ivo Łaborewicz, Andrzej Paczos; tłum. na jęz. niem. Tomasz Pryll, wydawca: Miasto i Gmina Świerzawa, Świerzawa 2004.
3. Karol Koper, *Z dziejów Świerzawy do 1945 roku – Aus der Geschichte Schönaus bis 1945*, red. Stanisław Firszt, tłum. Tomasz Pryll, wydawca Miasto i Gmina Świerzawa, Świerzawa 2004.
4. *Z dziejów Kamiennej Góry – Aus der Geschichte Landeshuts*, tłum. na jęz. niem. Tomasz Pryll, wydawca: Muzeum Tkactwa Dolnośląskiego w Kamiennej Górze, Kamienna Góra 2005.
5. Katarzyna Kozyra: *Opowieść zimowa: w sztuce marzenia stają się rzeczywistością – In Art Dreams True – Die Wintererzählung: In der Kunst werden Räume Wirklichkeit* [katalog], red. Joanna Mielech; przekł. Tomasz Pryll, wydawca: Galeria Sztuki BWA, Jelenia Góra 2005.
6. Wioletta Ratajczak, *Aus der Geschichte Landeshuts – Z dějin Kamiennej Góry*. [katalog], tłum. na jęz. niem. Tomasz Pryll, na jęz. czeski Joanna Jagodzińska; wydawca: Muzeum Tkactwa Dolnośląskiego w Kamiennej Górze, Kamienna Góra 2005.
7. Sławomir Mierzwa, *Dolny Śląsk na starych pocztówkach – Niederschlesien in alten Ansichtskarten – Lower Silesia in old postcards*, tłum. Tomasz Pryll, Marcin W. Markowicz; wydawca: Wydawnictwo Piątek Trzynastego, Łódź 2006.
8. Roman Czejarek, *Zamki na starych pocztówkach – Burgen und Schlösser auf alten Ansichtskarten – Castles in old postcards*, tłum. Tomasz Pryll, Marcin W. Markowicz, wydawca: Wydawnictwo Piątek Trzynastego, Łódź 2006.
9. Kmila Wilk, Dorota Kacprzak, Wojciech Miatkowski, *Kotlina Jeleniogórska na*

- starych pocztówkach – Hirschberger Tal auf alten Ansichtskarten – The Valley of Jelenia Góra in old postcards*, tłum. Tomasz Pryll, Marcin W. Markowicz; wydawca Wydawnictwo Piątek Trzynastego, Łódź 2006.
10. *Die Künstler in Schreiberhau: die Geschichte der Künstler im 19.-20. Jh., Carl-und-Gerhart-Hauptmann-Haus Museumsführer*, red. Bożena Danielska, tłum. na jęz. niem. Tomasz Pryll, wydawca Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze i Moniatowicz Foto Studio, Jelenia Góra 2007.
 11. Wolfgang de Bruyn i Antje Johanning, *Gerhart Hauptmann i jego domy (przewodnik literacki)*, tłum. na jęz. polski Przemysław Wiater i Tomasz Pryll, wydawca Stowarzyszenie Wspierania Domów Hauptmanna, Szklarska Poręba 2007.
 12. *Wspomnienia dr. H.C. Seydela tajnego radcy prawnego w Jeleniej Górze z jego działalności w Towarzystwie Karkonoskim. Lebenserinnerungen des Geheimen Justizrat Dr. H.C. Seydel in Hirschberg aus seiner Tätigkeit im Riesengebigsverein*, pomysł i red. Stanisław Firszt, tłum. Tomasz Pryll, Jelenia Góra, Muzeum Karkonoskie – Moniatowicz Foto Studio, Jelenia Góra 2008.
 13. Agnes Siebelt, *Biblioteka hrabiowskiego rodu Schaffgotschów, Historia Biblioteki do roku 1914*, red. Stanisław Firszt, tłum. Tomasz Pryll, Biblioteczka Duchy Gór, seria: Muzeum w Cieplicach cz. 2, wydawca Ad Rem, Jelenia Góra–Cieplice 2009.
 14. Raimund Wolfert, *Duplikaty w „stylu smoczym”*, red. Stanisław Firszt, tłum. Tomasz Pryll, Biblioteczka Duchy Gór, seria: Muzeum w Cieplicach cz. 7, wydawca Ad Rem, Jelenia Góra–Cieplice 2009.
 15. *Historia parafii ewangelickiej w Kamiennej Górze*, Geschichte der evangelischen Gemeinde zu Landeshut, Autor i koordynator projektu Gabriela Zawila, wstęp Piotr Oszczanowski, tłumaczenia Tomasz Pryll i Dörte Muß-Gorazd, wydawca Muzeum Tkactwa Dolnośląskiego w Kamiennej Górze, Kamienna Góra 2007, ss. 214+128.

Tomasz Pryll został pochowany 30 stycznia 2017 roku na Cmentarzu Komunalnym w Jeleniej Górze–Cieplicach, przy ul. Krośnieńskiej.

Ivo Łaborewicz

Cieplice z epoki

W kierunku południowo-zachodnim z Jelenią Górą sąsiadują niewielkie wsie, pośród których droga wiedzie do miejscowości Cieplice, „przebiegając cały czas w terenie zabudowanym domami” (Büsching, 1810 r. - przyp. tłumacza). Miasteczko to, będące w latach 1381-1945 własnością rodziny hrabiowskiej Schaffgotsch, znane było głównie z występujących tu źródeł mineralnych, których istnienie potwierdzone zostało już w roku 1281. Za czasów Josepha Mendelssohna istniały tam dwa domy zdrojowe: starszy, przylegający bezpośrednio do Długiego Domu, należący do prepozytury oraz położony obok „hrabiowski” dom zdrojowy, „wspinała rotunda o dwóch okrągłych kopułach, umieszczonych jedna nad drugą. Był on większy od kościelnego zarówno pod względem wymiarów zewnętrznych, jak i pojemności zbiornika (Georg Philipp Mogalla 1796 r., urodzony w Opolu wszedł do historii medycyny jako jeden z odkrywców Polanicy, Kudowy, Dusznik i innych uzdrowisk dolnośląskich)”.

W opisie z roku 1821 czytamy, że kąpiele dla panów rozpoczynały się o godzinie 4.00 i trwały dwie godziny (I klasa w cenie czterech groszy obiegowych za każdą kąpiel), po czym basen był czyszczony; następnie od godziny 10.00 do 11.00, II klasa (za pół ceny) oraz od godziny 11.00 do 12.00, III klasa (jeszcze taniej). Po południu możliwa była ponowna kąpiel I klasy dla panów, w godzinach od 2.00 do 4.00. Zalecano jednak kąpiele w godzinach porannych. W niedzielę basen czynny był tylko do godziny 8.00, natomiast źródło wody pitnej było niedostępne (Schmidt 1821 r.). Takie regulacje istniały najprawdopodobniej już podczas pobytu Mendelssohna, który pisze: „U źródeł kąpiel trwa każdorazowo 1 godzinę, niektórzy kąpią się dwukrotnie w ciągu dnia”.

Na temat podziału kąpiących według płci lekarz Georg Philipp Mogalla zauważa: „Kąpieli zażywa się tu, będąc ubranym wyłącznie w długie, obszerne koszule, tak więc oddzielenie płci żeńskiej od męskiej było niezbędne; oto bowiem, od kiedy Tacyt opisał obyczaje Teutonów, na moralnej fizjonomii prawników Hermanna pojawiły się liczne wpływy obcego pochodzenia. Tak więc nierzadko widywano tu damy, które – ze szkodą dla skuteczności kąpeli – wkraczały do basenu całkowicie ubrane”.

Mendelssohn, jak przystało na dobrego bankiera, pisząc kronikę, co kilka dni wspominał oponiesionych wydatkach. Koszty podsumował w ostatnich zdaniach dziennika.

Opr. Tomasz Pryll

O Autorze Kroniki

Joseph Mendelssohn urodził się 11.08.1770 r., jako drugi syn filozofa i kupca Mosesa Mendelssohna. Odebrał staranne wykształcenie, pobierając nauki początkowo u ojca, a następnie głównie u nauczycieli prywatnych. Ojciec zmarł w 1786 r., Joseph miał wówczas 15 lat. Pracował w różnych przedsiębiorstwach, aż w 1795 r. założył Bank Mendelssohna, zajmujący się początkowo wyłącznie obrotem towarowym i wekslowym. W latach 1799-1803 prowadził spółkę z Mosesem Friedländerem, obaj wspierali finansowo przyjaciela z lat dziecięcych, Aleksandra von Humboldta. W 1800 r. Joseph Mendelssohn przeprowadził się z gospodarczo niezbyt istotnego Berlina do Hamburga, rodzinnego miasta matki, gdzie we wcześniejszych latach nawiązał liczne kontakty biznesowe. Od 1805 r., po rozstaniu się z Friedländerem i ekonomicznym związaniu się z bratem Abrahamem Hamburg stał się główną siedzibą firmy. Podróżował w interesach do Paryża i Amsterdamu, a także do Anglii, Hiszpanii i Włoch. Wskutek gróźb, szantażu i represji ze strony napoleońskiej Francji oraz aneksji Hamburga przez Cesarstwo Francuskie w 1811 r., zdecydował się powrócić do Berlina, gdzie rozwijał swoją działalność.

Rok 1812 był jednym z najspokojniejszych w Europie w owych czasach: Napoleon przygotowywał się do najazdu na Rosję, połączając represje, skierowane przeciwko Prusom. Czas ten Joseph Mendelssohn postanowił wykorzystać na urlop wypoczynkowo-kuracyjny w Kotlinie Jeleniogórskiej. O tej podróży nie wiedzieliśmy do niedawna nic, dopiero znaleziony w archiwach dziennik podróży rzuca światło na to, w jaki sposób spędzał on swój pobyt w Cieplicach latem 1812 r.

W podróży do Cieplic towarzyszyła mu jego małżonka i służący Sabinsky. Nie wiemy, co dało impuls do wyjazdu na Dolny Śląsk, nie wiemy też, kto konkretnie polecił mu Cieplice Śląskie Zdrój, ani w jaki sposób doszło do wynajęcia mieszkania u aptekarza Thomasa. Z notatek wynika, że wczesnym rankiem każdego dnia Mendelssohn przyjmował kąpiele i pił wody lecznicze, nie wiemy natomiast, czy towarzyszyła mu przy tym jego żona. Popołudniami niemal codziennie podejmowali dłuższe i krótsze wędrowki do miejsc szczególnie atrakcyjnych widokowo i przyrodniczo: Wodospad Szklarki, Wodospad Kamieńczyka, Chojnik, nie stroniąc od wizyt w zakładach i manufakturach: witralejni w Piechowicach, czy papierni w Podgórzynie/Sosnowce. Po przyjeździe dwóch synów i ich prywatnego nauczyciela wycieczki górskie stały się dłuższe: dwu- a nawet trzydniowe. Wędrowki te odbywały się w dość licznym gronie, zważywszy na ówczesny zwyczaj, według którego małżonka Mendelssohna, Henriette, noszona była w lektyce, a całej grupie towarzyszył także przewodnik górski oraz tragarz bagażu. W sumie grupka liczyć mogła około dziesięciu osób. 15. sierpnia całe towarzystwo wyruszyło na 3-dniową wędrowkę, która zakończyła się w Starym Zdroju (Altwasser) koło Wałbrzycha. Również stąd Mendelssohnowie wyruszali na wycieczki, jednak tym razem głównie dorożkami oraz powozem typu chaise.

Joseph Mendelssohn zmarł 24 listopada 1848 roku w Berlinie.

Joseph Mendelssohn

KRONIKA
mojej podróży
kuracyjnej do Cieplic
w 1812 r.

Kronika mojej podróży kuracyjnej do Cieplic w roku 1812

LIPIEC

14 lipca



Berlin, to stąd wyruszył J. Mendelssohn na kurację

Rankiem o godzinie 5 wyruszyliśmy z naszej letniej rezydencji na bielarni w Tiergarten (w Berlinie – przyp. redakcji) razem z żoną i służącym Sabińskim. Ku naszej wielkiej radości poranek ten zaczął się pięknym wschodem słońca, zapowiadając pogodny dzień, po czterech tygodniach szarówki, zimna i deszczu. Dr Müller i moi synowie towarzyszyli nam do Tasdorff (*wieś na wschód od Berlina* – przyp. tłumacza), gdzie się rozdzieliliśmy: oni ruszyli do Rüdersdorff. Umówiliśmy się, że dołączą do nas w połowie sierpnia, a mi było przykro, że rozstaję się z nimi bez uzasadnionej potrzeby, z powodu zwykłej wycieczki turystycznej. Droga odludna i piaszczysta aż do Naumburga (*Nowogród Bobrzański* – przyp. tłumacza), gdzie krajobraz z wolna się zmienia.

Środa, 15.

Wieczorem dotarliśmy do Sprottau (*Szprotawa* – przyp. tłumacza), tu nocleg. Od Bunzlau (*Bolesławiec* – przyp. tłumacza) krajobraz jest zupełnie inny, niż w mojej ojczyźnie. Kończy się macoszy charakter przyrody, tu zdaje się ona być serdeczną, kochającą matką, która daje od siebie dużo dobrego, bez potrzeby wydzierania jej owych darów siłą. Niedaleko za Bolesławcem zaskoczony dojrzałem po raz pierwszy Karkonosze – niczym czarny tiul leżały rozpostarte na horyzoncie. Od dłuższego czasu usiłowałem dostrzec góry i nagle, jakby opadły mi łuski z oczu: to, co brałem za ciemne chmury, to właśnie były góry, być może widać je było jeszcze przed

Bolesławcem. Również widok pierwszej grupy skalnej był zaskakujący: to tzw. Huzarsprung (*Huzarski Skok k. Żerkowic* – przyp. tłumacza) pomiędzy Lwówkiem Śląskim a Jelenią Górą. Potężny wał skalny w lesie, cudowny widok z tego wału na górską rzekę, płynącą w głębokim jarze, którą musieliśmy przekroczyć, zachwycały mnie niezmiernie, jak zresztą wiele innych późniejszych cudów natury. Przez cały czas trwania tej monotonnej podróży poszukiwałem piękna, więc pierwsze takie zjawisko zachwycało mnie tym bardziej.

16.

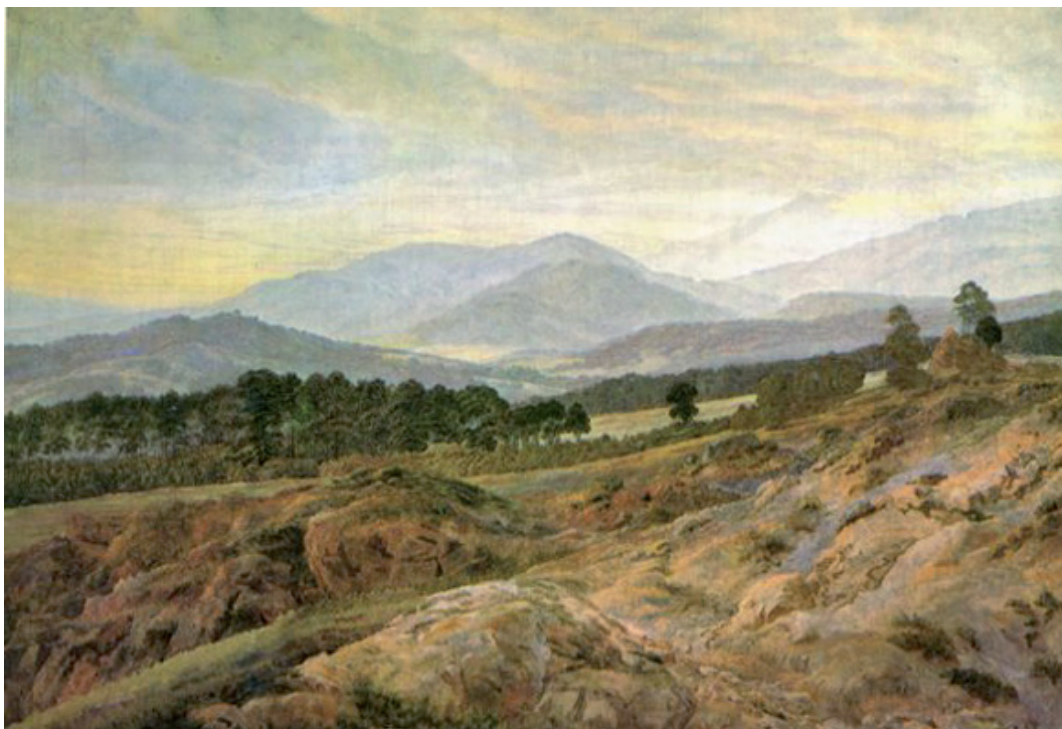
Wieczorem o 9 dotarliśmy do Warmbrunn (*Cieplice* – przyp. tłumacza). Od Bolesławca góry coraz bardziej się zbliżały, jednak nie na tyle, bym w swoim niedoświadczeniu nie wziął licznych białych plam na nich za domostwa. W najśmielszych marzeniach nie sądziłem, że jeszcze teraz, w lipcu w górach może leżeć jeszcze śnieg, póki pewnego dnia, gdy byliśmy bardzo blisko, nie przekonałem się o tym namacalnie. Mieszkanie nie podobało się nam i odbiegało od przedstawionego nam opisu. Z tego powodu żona była bardzo niezadowolona, pod wpływem złego humoru wszystko wydawało się jej dziesięciokrotnie gorsze, niż w rzeczywistości było. Jednak nie minęły 24 godziny, a jedynym zastrzeżeniem, jakie jeszcze wyrażała, było brak ładnego widoku z okien salonu, poza tym wszystko było dobre, czyste i wygodne, a nasz gospodarz, aptekarz Thomas, był bardzo usłużny i świetnie doradzał nam w kwestii wartych zwiedzenia osobliwości w okolicy.



Cieplice, cel podróży J. Mendelssohna

Piątek, 17.

Pierwszy spacer po promenadzie i pierwsze spojrzenie na bliskie góry (wczoraj, gdy przybyliśmy, było już ciemno). Widok dla mnie niezapomniany. Był piękny, jasny poranek, fioletowa poświata, która barwiła górski wał, gdzieś tam łąchy śniegu, które teraz widać było wyraźnie, cała wspaniałość Gór Olbrzymich tuż przed oczami były dla mnie, który nigdy dotąd nie widział znaczniejszej góry, niezwykłą niespodzianką. – Całe przedpołudnie wypełniły pierwsze kąpiele. Po południu do spaceru nakłoniło nas piękne pole uprawne na końcu promenady i po raz pierwszy odkryliśmy, że w okolicach górskich odległości należy oceniać zupełnie inaczej, niż na nizinach. Kto pochodzi z nizin, temu odległości w górach wydają się mniejsze, niż są w rzeczywistości. Duży, biały budynek w oddali wzbudził naszą ciekawość, przepiękna ścieżka pośród grup skalnych, rozrzuconych na polach, które skłoniły nas do wspinania się na nie wiodąca zakosami ścieżynka – wszystko to pozwoliło nam zapomnieć o odległości i trudach wędrówki. Dotarliśmy do wsi, w której owym białym budynkiem okazał się kościół. Był to Giersdorff (*Podgórzyn* – przyp. tłumacza), odległy – jak się później dowiedzieliśmy – o dobre pół mili¹ od Ciepliec. Ledwo tu dotarliśmy, zaczął padać deszcz, znaleźliśmy schronienie w altanie obok gospody,



Karkonoskie pejzaże, to było to, co zafascynowało J. Mendelssohna

¹ Mila: tu prawdopodobnie stosowana w Prusach mila niemiecka, licząca około 7,53 km

a gdy deszcz ustał – ruszyliśmy w drogę powrotną. Tyle tylko, że zgubiliśmy dróżkę, którą tu przyszliśmy. Tym razem szliśmy przez mokre od deszczu łąki, mijając liczne strumienie, przez które nie przerzucono żadnych kładek, musieliśmy się kilkakrotnie cofać, aż wreszcie straciliśmy poczucie kierunku, w którym powinniśmy zmierzać. Dopiero pewna dziewczynka, zaganiająca stado do domu, pokazała na właściwą drogę i późnym wieczorem, w przemoczonych butach, dotarliśmy z naszej wędrówki do domu. Później dowiedzieliśmy się, że w Podgórzyńcu znajduje się wiele godnych zwiedzenia atrakcji. My ich nie zobaczyliśmy, bowiem nikt nam o nich przedtem nie opowiedział i nie wiedzieliśmy, czego szukać.

Sobota, 18.

Po południu do Staniszowa, weszliśmy na Prudelberg (*Witosza* – przyp. tłumacza), Stangenberg (*Grodna* – przyp. tłumacza), Mittelberg (*Staniszówka* – przyp. tłumacza) i Schloßberg (*Góra Zamkowa(?)*, *prawdopodobnie pałac w Staniszowie Górnym* – przyp. tłumacza). Kto znajdzie się w Staniszowie, nie może pominąć żadnego z tych wzniesień, a najlepiej wędrować w towarzystwie znającego okolicę przewodnika, którym w naszym przypadku był nasz gospodarz. Góry te należą do niższych w okolicy, co z pewnością nie chroni ich przed ludzką ciekawością. – Ich właściciel tylko tu i ówdzie nieznacznie zmienił i skorygował działania natury. Piękne dróżki,



Witosza, jedno ze wzniesień „zdobyte” przez Mendelssohnów

prowadzące do wszystkich najatrakcyjniejszych miejsc, delikatne i gustowne wykorzystanie i wyeksponowanie tych atrakcyjnych miejsc, odpowiedni rytm, który łączy wszystkie części, nie pozwalając ich budowniczemu na przekraczanie pewnych granic – wszystko to zasługuje na pochwałę i wdzięczność ze strony każdego, kto tu był. Każdy, kto aż do granic wyczerpania wspinał się na dzikie i dziewicze góry, z pewnością radować się będzie tym założeniem parkowym, które pozwala bardzo wygodnie wejść na szczyt każdego wzgórze. – Dla nas, którzy po raz pierwszy zdobywali jakąkolwiek górę, lepiej byłoby, gdyby dróżki te były bardziej strome, trudniejsze i surowsze; takie, jakimi uczyniła je matka natura. A przecież popołudnie to było najprzyjemniejszym w całym moim dotychczasowym życiu. Rozległe, bogate doliny, na które spogląda się ze wzgórz i widok na pobliskie wysokie góry, z ich doskonale widocznym odgałęzieniami, doskonały przegląd szczegółów, zmieniająca się perspektywa, w zależności od tego, czy jest się wyżej, czy niżej, czy słońce świeci jasno, czy też akurat skryło się za chmurą, niewyczerpana i nieskończona różnorodność tych wspaniałości – wszystko to zadowoli nawet najbardziej wymagającego wędrowca. Tu po raz pierwszy ujrzelśmy gigantyczne formacje skalne, które jakaś siła, o której my, zwykli śmiertelnicy, nie mamy pojęcia, porozrzuciła lub pogrupowała.

Jeśli chodzi o topograficzną znajomość gór, to jestem w takiej sytuacji, jak my wszyscy wobec nowych wyzwań. Dopóki nie wiemy nic, dopóty sądzimy, że możemy się z łatwością wszystkiego nauczyć i wszystko pojąć. Ledwo jednak zbliżymy się do zagadnienia i krok po kroku zagłębimy się w jego istotę, otoczenie wokół nas staje się nagle zupełnie niepojęte. Każde rozgałęzienie tej wiedzy, którego dotychczas nie byliśmy zdolni rozpoznać w naszej niewiedzy, wydaje się nagle zupełnie oddzielnym, samodzielny światem, który należałoby poznać dogłębnie – i nagle potrafimy zrozumieć Hipokratesa, gdy rozpoczyna on swoje nieśmiertelne dzieło, powstałe z jego wieloletnich doświadczeń u studiów, ciężkim westchnieniem: *ars longa vita brevis (sztuka długa, życie krótkie* – przyp. tłumacza). Gdy oto studiowałem jedynie mapy, sądziłem, że w ciągu kilku tygodni nabędę orientacji w Górach Olbrzymich. Nawet, gdy pierwszy raz stanąłem u stóp tych gór, pomyślałem że jest to sprawa banalna i łatwa. Jednak gdy rozpocznie się wędrówkę, okazuje się że wzrok to – wobec pozostałych zmysłów ludzkich – zbyt potężne narzędzie. To, co początkowo widzę jako pewną całość, przy bliższym oglądzie rozpada się na tysiące elementów, z których każdy stanowi samoistny, niezależny świat. I nie jest łatwym zadaniem poznanie wszystkich tych pojedynczych elementów i złożenie ich następnie ponownie w jedną całość.

Tego dnia rozpocząłem kąpiele (lecnicze) i początkowo wspólne kąpiele były mi niemiłe: istotnie bowiem należy wpięrow poznać owe drobne konwencje, które rzesza kąpiących ustanowiła dla siebie, by kąpiel stała się komfortem. Wkrótce znajdujący się dookoła mnie ludzie nie stanowili już problemu, jestem zdania, że oddawanie się w wodzie własnym myślom w samotności nie przyczynia się do



Plac Zdrojowy w Cieplicach. Po lewej basen hrabiowski, na wprost basen pocysterski. W jednym z nich brał kąpiele lecznicze J. Mendelssohn

uzdrowienia, a jeszcze gorszy efekt przynosi zaśniecie w wodzie. Kąpiel trwała trzy kwadranse, po niej nastąpił godzinny spacer z piciem wody leczniczej.

Tego samego dnia wieczorem przybył Lobedan (członek rodziny kupieckiej z Cottbus – przyp. tłumacza), powracający z Wiednia. Późnym wieczorem napisałem do moich dzieci, prosząc, by zechciały przyjechać wcześniej, niż było to ustalone, bowiem zrozumiałem, że muszą być tu przynajmniej 10-12 dni, by wszystko to wchłonąć. Nie jestem w pełni przekonany, czy słusznie daję im możliwość poznania tych delikatesów natury już w tak młodym wieku, i czy nie lepiej byłoby zostawić tę eksperyencję na deser życia. W mojej decyzji o ich wcześniejszym tu sprowadzeniu kryje się też sporo egoizmu, bowiem wpierw sam będę się rozkoszował tymi obrazami, a później z niekłamaną radością obserwował będę, gdy rozkosz ta stanie ich udziałem. – Poza tym uważam, że w dzisiejszych czasach słuszną jest próba wyrwania synów z monotonii miejsca zamieszkania, z kręgu ograniczonych pojęć i obserwacji. Sądzymy, że postępujemy słusznie, wmawiając dzieciom, że wszystkie kraje i ich obyczaje są dobre, i że należy jak najszybciej dopasować się do każdego środowiska, w które rzuci nas los, by korzystać z płynących zeń dobroci i – o ile to możliwe – unikać tego, co złe. Jako że synowie moi nie uczęszczali do szkół publicznych, sądzą, że dając im możliwość podróżowania – wyrwam ich z lęklivego przywiązania do zwyczajów, panujących w ich rodzimym środowisku; miałbym wyrzuty sumienia, gdybym postawę taką zauważył u moich dzieci.

19. sobota

Po południu wycieczka przez witriolejnię do Kuchelfall (*Wodospad Szklarki* – przyp. tłumacza). To dla mnie wyjątkowa radość – zobaczyć na własne oczy coś, co dotychczas widziałem na licznych ilustracjach i znałem z wielu opowieści. Tak właśnie czułem się, gdy dotarliśmy do witriolejni. Od lat słyszałem, czytałem i oglądałem ilustracje, marząc niejednokrotnie, by móc zobaczyć to na własne oczy, i oto udało się. Jestem więc w górach i oglądam to, co znam z opisu martwymi literami lub najwyżej widziałem na bulino. Marzenie, które nareszcie się spełniło, zastępując inne marzenia, których nie mam odwagi nawet wypowiedzieć. – Spacer do Wodospadu Szklarki był niezwykle piękny – była to pierwsza wyprawa do świątyni dziewiczej natury, do jej atelier.

Poniedziałek, 20. lipca

Przed południem w Hirschberg (*Jelenia Góra* – przyp. tłumacza) spacerkiem po licznych małych sklepikach. Po południu na Kienast (*Chojnik* – przyp. tłumacza). Po raz pierwszy góra mnie zmogła, nabrałem większego respektu przed górami, byłem dość mocno zmęczony, gdy dotarłem na szczyt. Jednak przyjemność jest wielka, a owo miejsce, zwane Piekiełkiem, w którym skały tworzą rodzaj kręgu z kamienną ławką – szczególnie piękne. – Grupa młodych ludzi ze Szkoły Rycerskiej w Legni-



Wśród uliczek Jeleniej Góry Mendelssohnowie odwiedzali małe sklepiki



Ruiny zamku Chojnik, które nie zachwyciły Mendelssohna

cy dołączyła do nas, a gdy ujrzałem ich schodzących z góry: każdy w zabawnym ubraniu wędrowcy, z torbą na plecach, pomyślałem z tęsknotą o moich synach, którzy niebawem będą podobnie wędrować. Sam zamek nie zaciekał mnie. Nie lubię myśleć o tamtych czasach – a teraz tym bardziej. Skąd bowiem ma powstać u nas poczucie narodowości, jeśli jeszcze 300 lat temu każdy wolny człowiek mógł uciec w wysokie skały, ogrodzić się murem i fosą – a kto tego nie potrafił, był zwykłym pacholkiem. Jeszcze wiele pokoleń będzie dźwigać jarzmo tego dziedzictwa, nim naród zmyje z siebie to piętno i dokona samoindentyfikacji. – Podobne przyczyny mają zawsze podobne skutki, Niemcy w wielu rzeczach podobni są do Żydów, kto więc dba o ich dobro, winien wielkodusznie zrezygnować z koncentrowania się wyłącznie na owocach własnej pracy. – W drodze powrotnej przeciskaliśmy się przez dziurawy kamień – męcząca to zabawa. Droga powrotna do wsi Hermsdorff (*Sobieszów* – przyp. tłumacza) jest stroma i bardzo trudna. Po raz pierwszy byłem całkowicie wyczerpany po dotarciu do domu.

W mieszkaniu czekały na nas pierwsze listy od dzieci, które mnie uspokoiły, nie wiedziałem przecież, czy ich podróż do Rüdersdorff przebiegła szczęśliwie. Na karteczce, którą dałem Benny'emu, by oddał ją w kantorze, otrzymałem informację, że dotarli oni na miejsce już przez godzinę 7 wieczorem. Listy z kantoru były równie satysfakcjonujące.

Wtorek, 21. lipca

Nocą poczęło grzmieć, aura zrobiła się gęsta i deszczowa. Zrezygnowaliśmy za radą obeznanych mieszkańców gór z wycieczki do Zackenfall (*Wodospad Kamieńczyka* – przyp. tłumacza), którą poprowadzić miał Lobedan. Po południu pojechaliśmy do Podgórzyna, obejrzelśmy Dziurawą Skalę i odwiedziliśmy właściciela papierni Scholza, który przyjął nas wspaniale, z tradycyjną gościnnością. – Człowiek ten nie miał dzieci, a papiernia stała się absolutnym celem jego życia. Trwa więc i działa na rzecz udoskonalania swojego fachu, ów stary, zacny, nieskazitelny mężczyzna. – Musiałem potwierdzić uściskiem dłoni, że tu wrócę, i z pewnością to uczynię.

Środa, 22. lipca

Deszczowo i szaro, nie możemy wyjść z domu. Po zachodzie słońca nadciągnęła burza, jakiej na nizinach nie uświadczysz, błyskawice następowały jedna po drugiej, grzmoty były jeszcze odległe, ale słyszalne równie często. Miałem zamiar czuwać i zobaczyć burzę w górach, byłem jednak zbyt zmęczony i położyłem się do łóżka. – Sporo straciłem, albowiem burza nadciągnęła bliżej i należała do najintensywniejszych, jaką tutejsi mieszkańcy widzieli.

Czwartek, 23.

obudziwszy się o godz. 4:30 zobaczyłem, że pod wodą znalazła się cała okolica wokół naszego domu. Dowiedziałem się, że niewielka rzeczka Zackenfluß (*rzeka Kamienna* – przyp. tłumacza) wystąpiła wskutek deszczu z brzegów i podtopiła sporą część miasteczka, a wielu mieszkańców dolnych kondygnacji musiało salwować się ucieczką. – Niepozorny strumyczek zmienił się w rwący, mętny żywioł, porywający głazy i drzewa – jakby uosobienie niewyrośniętych mężczyzn, którzy zwykle równie szybko tracą nad sobą panowanie, i którzy – mimo potencjalnie mniejszej siły – są niebezpieczniejsi od z pozoru silniejszych, postawnych osób, świadomych swojej siły wewnętrznej. – Po południu bardzo miły spacer do Scholzenberg (*Góra Sołtysia* – przyp. tłumacza), a następnie przez las, drogą wiodącą do Staniszowa. – Piękna wędrownka, którą polecali nam napotkani chłopci.

Piątek, 24. lipca

Po południu na Cavalierberg (*Wzgórze Kościuszki* – przyp. tłumacza) w Jeleniej Górze – czyż nie powinna zostać przekształcona każda góra szubieniczna w takie miejsce wypoczynku dla ludzi? Z natury swojej nie należą ludzie do gatunku pajaków, pożerających się nawzajem, a gdyby stłumić w nich opary chciwości, znikłyby przestępstwa karane szubienicą. A przecież tak łatwym wydaje się wykorzenie tych złych skłonności poprzez zwykłe oświecenie umysłów, bowiem jasne jest, że chciwość nigdy nie czyniła ludzi szczęśliwymi i nigdy szczęśliwymi ich czynić nie będzie.

Sobota, 25. lipca

W południe o godz. 12.00 ruszyliśmy do huty wotriolu, stamtąd przez Wodospad Szklarki do Wodospadu Kamieńczyka i z powrotem do karczmy w Szklarskiej Porębie – kolejny dzień, którego wspomnienie nigdy we mnie nie zgaśnie. Wodospad Kamieńczyka to największe dzieło natury, jakie dotychczas oglądałem i bardzo żałowałem, że tak mało wiem o mineralogii i geologii. Jeżeli człowiek chce rozkoszować się przyrodą, musi się do tego dobrze przygotować – nie tylko po to, by w konfrontacji rozkosz tę zwielokrotnić, lecz dlatego, że każde spotkanie z przyrodą sprawia, że chcemy poznać tę przyrodę tak dobrze, jak to tylko możliwe, a bez tej wiedzy odczuwamy niespełnienie. To tak, jakby słuchać śpiewu w obcym języku. Przeczujemy znaczenie, żałując, że nie rozumiemy poszczególnych słów. – Dzień był wyczerpujący, pieszo przeszedłem ponad dwie mile niemieckie, w większości uciążliwymi ścieżkami pod górę. Do domu dotarliśmy między godz. 9.00 a 10.00 wieczorem.

Niedziela, 26. lipca

Rankiem bardzo odczuwam wysiłek z wczorajszego dnia. Z dużymi trudnościami zwlokłem się o pół do piątej z łóżka i udałem się do kąpieliska. Po kąpeli poczułem się słaby i zmęczony, i musiałem położyć się. Obawiałem się, że osłabienie to skutek kąpeli, a ponieważ wziąłem dopiero trzecią część przepisanych kąpeli – obawiałem się dalszych skutków. – A jednak następnego dnia wszystko się uspokoiło i czułem się świetnie. Wszystko więc było konsekwencją wczorajszego wielkiego zmęczenia. Po południu do Staniszowa, gdzie podczas wędrowki odwiedziliśmy ponownie te miejsca, które przed ośmiu dniami pokazał nam pan Thomas – a każde z ponownie odnalezionych miejsc miało dla nas podwójną wartość, więc wieczór upływał nam miło.



Wodospad Kamieńczyka to według Mendelssohna „największe dzieło natury”



Karkonoskie pejzaże bardzo przypadły do gustu J. Mendelssohnowi

Pogoda znów piękna, w dzień bardzo gorąco, wieczorem – rzeško [!], ale nie chłodno.

Ostatnie listy od moich synów wskazują, że wkrótce dołączą do nas. Żyją, niebiosom niech będą dzięki!, w Berlinie – równie przyjemnie i szczęśliwie, mogę więc ze spokojem myśleć o nich niemal nieustannie. Są również zadowoleni, a będą po dwakroć, gdy będziemy tutaj razem. Ostatni list z kontoru nie był zbyt optymistyczny, ale nie na tyle, bym się niepokoił.

Poniedziałek 27. oraz wtorek 28.

To były bardzo upalne dni, co nie pozwalało na dłuższe wyprawy. W poniedziałek byliśmy w Staniszowie, gdzie zostaliśmy do wschodu księżyca. – We wtorek wieczorem spacerowałem sam po alei (*prawdopodobnie po głównej alei parku zdrojowego* – przyp. tłumacza). Na horyzoncie szalały burze, a pioruny były nieprzerwanie, tworząc wspaniałe widowisko. Wyglądało to, jakby góry były stale oświetlone, a ciemna noc w kotlinie kontrastowała z jaśniejącymi szczytami. Siły natury są tutaj o wiele silniejsze, niż na terenach nizinnych. Deszcz, burza, śnieg – wszystko ma tutaj taki wyrazisty charakter, podczas gdy u nas zjawiska te sprawiają wrażenie,

jakby przyroda była przytłumiona. Mieszkający w górach mężczyźni są ludźmi miłującymi wolność, o silniejszej konstrukcji ciała, niż mieszkańcy nizin, tak więc nie bez znaczenia jest oddziaływanie na nich fizycznej przyrody, albowiem jest człowiek zawsze produktem analogicznym do otaczającej go przyrody. A przecież ludu tutejszego nie można uznać za dowód na to stwierdzenie, na pierwszy rzut oka robi wrażenie przygnębionego i osłabionego, który – wedle mojej wiedzy – nigdy nie przejawiał żywego przywiązania do wolności. W czym tkwi więc tego przyczyna? Najprawdopodobniej w rozdziale tutejszych mieszkańców gór od tych po drugiej stronie wskutek religii i polityki. Niewielka społeczność po oby stronach, a szczególnie po tutejszej stronie jest zbyt słaba, by walczyć o siebie, a jej odrębność rozmywa się w wielkiej masie państwa, do którego przynależy. – Dlaczego jednak jest ów lud tak strasznie biedny i wynędzniały, pomimo niezwyklej pracowitości, pomimo wszelkiej pomocy, której doświadcza ze strony rządu, pomimo rzeczywistych przymiotów, które wyróżniają go na tle innych prowincji. – Dlaczego tutejsza rasa ludzka jest tak nędzna, tak skarłała, gdy przecież zwykło się twierdzić o mieszkańcach gór zupełnie coś przeciwnego? Czyżby fizyczne skarlenie tutejszego typu człowieka wynikało z biedy i niedostatku, a może zjawiska te nie mają żadnego związku? Muszę zwrócić się do doświadczonego fachowca, by mi to wytłumaczył. Myślę wszakże, że rząd postąpiłby słusznie, gdyby zechciał osiedlać Żydów w okolicach podgórskich – najwyraźniej brakuje w tej okolicy sumiennych i skromnych pośredników handlowych. Panuje monopol miast górskich, przez co cały handel niemal dziedzicznie znajduje się w rękach wybranych rodzin, które wykluczają udział w nim obcych – to zaś prowadzi do wykorzystywania mieszkańców wsi, równocześnie jednak nie czyniąc miast szczególnie bogatymi. Rutyna to skutek, wywoływany przez monopole, a Niemcy z północy ze swojej natury poddają się rutynie bardzo łatwo. Pobudzanie cyrkulacji w handlu, szukanie nowych kanałów zbytu, gdy stare zamierają – tego ci panowie nie czynią. Największa z tajemnic całego handlowania polega na tym, by z każdym wyjściowym kapitałem osiągnąć najwyższą możliwą sumę obrotów – wówczas wygranymi są wszyscy: wytwórca, pośrednik oraz konsument, a wszystko dzieje się szybko, na gorąco. Jeśli więc chce się pomóc tej krainie, należy zlikwidować wszelkie przeciwności, które piętrzą się przed tutejszymi mieszkańcami i kupcami. – Wolność handlu nawet w najgorszych warunkach szybko naprawi to, co duch monopolistyczny potrafi zepsuć w czasach dla handlu najlepszych – (osiedlenie) kilku Żydów niewątpliwie byłoby z pożytkiem dla gór...

Czytałem ostatnimi dniami Herodota, i to z wielką przyjemnością. To jedna z tych książek, którą po pierwszej lekturze czyta się natychmiast po raz wtóry. Trudno jest wyjaśnić, dlaczego akurat ta książka tak bardzo mnie fascynuje. Mieszanka wysokiej, prostej prawdy z nieokiełznaną fantazją dawnych, nieusystematyzowanych epok stanowi wielką rozkosz. W opowieści jest tyle szczerości, a człowieczeństwo ukazane bez zbędnego wstydu – to dziedzictwo późniejszych, światlejszych czasów. – Ciągle jeszcze jesteśmy tymi samymi ludźmi, jakimi byliśmy przed stuleciami, a przecież listek figowy zakrywa to, czego wygodniej jest nam nie dostrzegać; i gdy-

by znalazł się historyk obdarzony odwagą i mądrością na tyle, by ów listek figowy strącić, historia naszych czasów brzmiałaby podobnie, jak za czasów Herodota.

Środa, 29. lipca

Pogoda zaczęła zmieniać się na nieprzyjemną. Wieczorem udaliśmy się pieszo do Hermsdorff (*Sobieszów* – przyp. tłumacza). Mili ludzie w szynku, mężczyzna, kobieta i dzieci. Piwo i mleko za dwa czeskie grajcarey. Chcieliśmy zwiedzić bibliotekę, o której czytaliśmy w naszych książkach. Jednak w pałacu nie znaleźliśmy nikogo, kto potrafiłby zrozumieć słowo „biblioteka” (*Mendelssohn mógł czytać o bibliotece u Hosera* – przyp. tłumacza). Również słowo „księżnica” nie posunęło nas ani o krok. Nasz gospodarz powiedział nam po powrocie, że nasz trud był próżny: trzeba było zapytać mnichów (chodzi o aptekarza Thomasa, który kierował Mendelssohna do byłych cystersów, którzy pozostali w Cieplicach po sekularyzacji z 1810 roku – przyp. redakcji), bowiem od wielu lat uratowane z pożaru zamku Chojnik w 1674 r. (pomyłka J. Mendelssohna, pożar miał miejsce w 1675 roku – przyp. redakcji) dokumenty i rękopisy porzucone są na pastwę zniszczeń i robactwa. – Takie niedbalstwo winno być moim zdaniem karalne i jest zbrodnią przeciwko narodowi w czasach współczesnych i w przyszłości (od 2 poł. 1812 roku porządkiem Biblioteki zajął się baron Stillfried – przyp. redakcji). Jeśli już musimy dźwigać jarzmo i obowiązki wielkich państw, winniśmy zadbać o to, byśmy mogli cieszyć się tym, o co wielkie państwa winny zachować – muzea ojczyzniane winny starannie przechowywać to, co pozostało nam z czasów minionych, a więc to, co kreuje naród: sięganie poza ramy czasowe żyjącego pokolenia, poznawanie uczynków i działań przodków i ich starań, by pozostawić potomnym wiedzę swoich czasów.



Książki z Biblioteki Schaffgotschów w Sobieszowie

Czwartek, 30. lipca

Zwiedziliśmy Buchwald (*Bukowiec* – przyp. tłumacza) przy niezłej, ale nie bezchmurnej pogodzie. – Wspaniałe założenia (*parkowe* – przyp. tłumacza), wykorzystujące ze smakiem i mądrością wielkie, niewyczerpalne twory, będące dziełem natury, ukazujące wielką miłość i zadowolenie właścicieli z tych obiektów czerpane. – Ogromnie irytuje, gdy właściciel – jak to często bywa – nie dba i porzuca najwspanialsze, kunsztowne założenia, w których na każdym kroku towarzyszy nam przesyt będący jego zasługą i który ciągle jeszcze dostrzegamy. Tu jest całkiem

inaczej. Wszystko wskazuje na miłość, z jaką zostało stworzone, i z jaką jest eksploatowane. – Najpewniej nigdzie w Niemczech nie ma drugiego takiego miejsca, w którym idea parku na wzór angielski (tzw. „ornamental farm” – przyp. tłumacza) zrealizowana zostałaby w takim stopniu, jak tutaj. – Oto nie należy tworzyć stawów, lasów i wzgórz w ogrodzie, lecz zakładać ogrody tam, gdzie są stawy, lasy i wzgorza. Rozumiem teraz, jaki sens ma angielska sztuka parków krajobrazowych i o co chodzi w założeniach, które zwykliśmy nazywać parkami angielskimi.

Wieczór był bardzo chłodny, do domu dotarłem przeziębiony.

Piątek, 31. lipca

Deszczowy, szary dzień. Wieczór w teatrze. Die Hagestolzen (komedia w 5 aktach autorstwa Augusta Wilhelma Ifflanda. Wolne tłumaczenie tytułu: „Starzy kawalerowie” – przyp. tłumacza). Ciekawe, dlaczego nasz lud jest bardziej tolerancyjny wobec sztuki aktorskiej, niż wobec innych gatunków artystycznych? Teatr to ciemna dziura, oświetlona symbolicznie kilkoma cienkimi (po części niezapalonymi) świecami, maleńkie proscenium, pozwalające zrobić najwyżej dwa kroki; dekoracje, muzyka, wymowa, wygląd i pamięć aktorów najgorsze z możliwych – a przecież większość widzów była zadowolona. Wytworu jakiegokolwiek innej dziedziny sztuki: muzyki, malarstwa, rzeźbiarstwa, który stałby na podobnie politowania godnym poziomie, nikt nie zechciałby oglądać za darmo, a z pewnością nie zapłaciłby za to wcale niemałych pieniędzy, jak miało to miejsce tutaj. – Ochota, z jaką oglądamy każde przedstawienie i która pozwala nam znieść nawet najgorszą rzecz, ma swoje uzasadnienie w naturze ludzkiej. Chętnie znajdujemy sobie zajęcie, niewymagające od nas pracy. Stąd też popularność czytelnictwa. A tu nagle aktorstwo, które odbiera na nawet obowiązek czytania, dostarczające wciąż nowych obrazów bez wyężdżania umysłu, bez jakiegokolwiek czynności ze strony oglądającego, poza wygodnym rozparciem się w fotelu, i obserwowanie myśli innych ludzi, niczym w jakiejś *laterna magica* – aktywna i pełna napięcia imaginacja, podziw dla dobrej i wyszydzenie złej gry aktorskiej – Oto dość powodów, by oglądać nawet naprawdę złe przedstawienia z ochotą. I żadna inna dziedzina sztuki nie będzie tak ogromnym magnesem dla lenistwa ludzkiego. Naród, który dużo czyta i ogląda dużo przedstawień teatralnych, nie jest zdolny do wielkich czynów, tak więc wspierać taką sztukę, czy ją eliminować? Odpowiedź zależy od przekonań, a jeszcze bardziej od zamiarów pytanego. Niewątpliwie jednak wielkie czyny narodów nigdy nie były powodem do radości, nie budowały, a wręcz były niszczycielskie, a tym, czym dla nas są książki mi spektakle teatralne – dla prymitywniejszych narodów były bitwy i wojny. Pęd do działania u niewysoko wykształconych umysłów, które przypisują tym działaniom cel oczekiwany. W teatrze spotkaliśmy Funda, miło było spotkać niespodziewanie starego znajomego, bowiem od dłuższego czasu nie widzieliśmy nikogo z naszych znajomych. Tutaj nie spotkaliśmy nikogo, tym bardziej tęskno nam było do dnia przyjazdu naszych synów.

SIERPIEŃ

Sobota, 1. sierpnia

Po południu zobaczyliśmy Heimfall (*Wodospad Podgórną; właśc.: Hainfall* – przyp. tłumacza). Rzeka, której nazwa nie występuje w żadnym dostępnym mi opracowaniu atrakcji przyrodniczych, a która kryje w sobie oryginalne, nieokreślone piękno. – Nie bez trudności wspięliśmy się ścieżynką na skały, znajdujące się nad wodą i stanęliśmy na najwyższej z nich. Wspaniały, wynagradzający trudy widok na Kotlinę i pobliskie wysokie góry – jeszcze nigdy nie byłem tak blisko od nich. W drodze powrotnej odwiedziliśmy właściciela papierni Scholza, gdzie przyjęto nas z typową, otwartą gościnnością. Wspaniała, zmysłowa, mądra gospodyni, która w swoim idyllicznym domostwie zdawała się być ideałem.

Niedziela, 2. sierpnia

Wypogodziło się, być może na dłużej, było jednak przenikliwie zimno – być może tylko mi, ponieważ w nocy i rankiem nie czułem się zbyt dobrze. – Po południu udaliśmy się na Helikon (*złocza Borowego Jaru* – przyp. tłumacza), jednak bez miejscowego przewodnika, więc przeszliśmy szmat drogi, wspinając się w górę i schodząc, niewiele mając z tego pożytku. Stamtąd na Cavlierberg (*Wzgórze Kościuszki* – przyp. tłumacza), w licznym, miłym towarzystwie. Pogoda piękna, dzięki niech będą Niebiosom, cieszyliśmy się, że synowie mają takie szczęście, bo do ich przyjazdu pozostały zaledwie godziny.



Świątynia na Helikonie, której nie widział J. Mendelssohn



Widok z Cavlierberg pod Jelenią Górą

Poniedziałek, 3. sierpnia

Piękna, ciepła pogoda – poszliśmy na Schulzenberg (*Góra Sołtysia* – przyp. tłumacza), a później na bal z okazji urodzin naszego króla (42. *urodziny króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III* – przyp. tłumacza), który okazał się bardzo skromny, w przeciwieństwie do wspaniałego firmamentu na zewnątrz. Ciepła, bezchmurna noc letnia, jaka z pewnością rzadko się tu zdarza.

Od przyjazdu tylko raz miałem okazję założyć lekkie ubranie, ciepłe rzeczy przydają się tu często, szczególnie tym, którzy zamierzają chodzić w góry. Ciepły ubiór nie utrudnia wspinaczki, a na wysokościach jest tyle przyjemny, co zdrowy.

Już 3 tygodnie jestem poza domem, radowałem się z żoną wszystkim, co w tej podróży było radosne, nie szczędziliśmy wydatków, by zobaczyć wszystko w miarę wygodnie, mieszkamy w stosunkowo drogim miejscu, żyjemy, jemy i pijemy tak dobrze, jak jest to tutaj możliwe. Sama podróż kosztowała nas 80 reichstalarów, w ciągu 3 tygodni wydałem ok. 240 reichstalarów.

Wtorek, 4. sierpnia

Wieczorem spacer na wałach do zmierzchu, a po powrocie do domu usiedliśmy na ławce przed drzwiami, gdzie zaskoczyło nas przybycie żurnalierą chłopców i dr. Müllera. Oni szli przodem, był niemal całkiem ciemno, jednak postaci, które się zbliżyły wyglądały znajomo i równocześnie wykrzyknęliśmy: „Oto ludzie, którzy

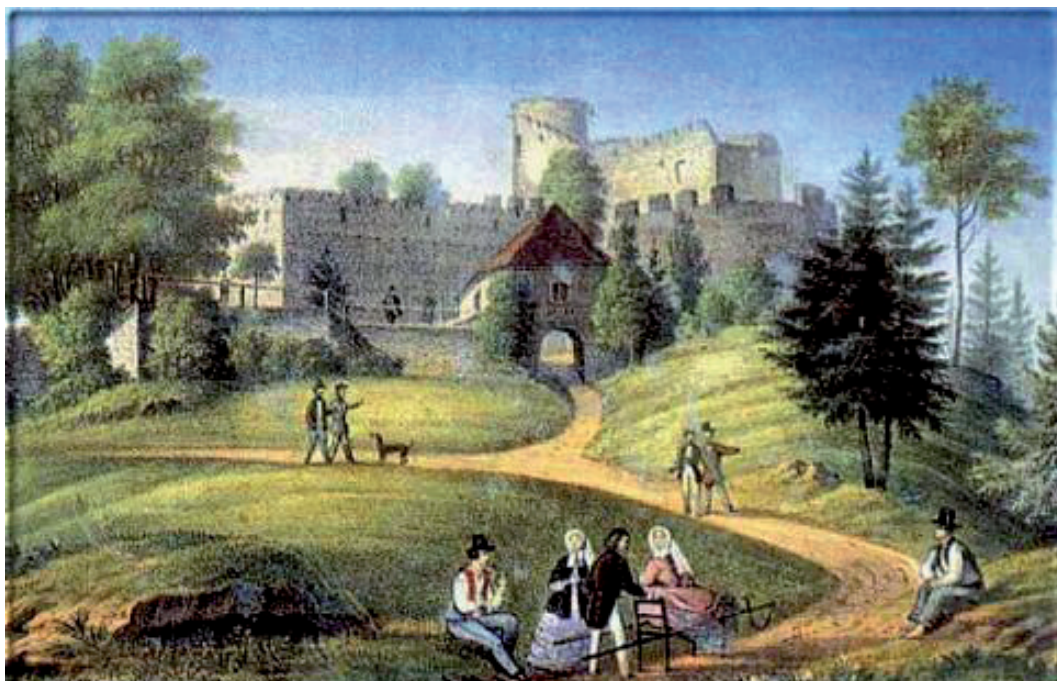
wyglądają jak nasi!«, i tak było istotnie. Jakaż to była radość, obaj byli zdrowi, a Alex jeszcze urósł; obaj byli w dobrej formie, a podczas podróży towarzyszyła im piękna pogoda i tylko pod wieczór pokazały się niewielkie chmury.

Środa, 5.

Przed południem spacerowałem z chłopcami w miasteczku, pokazując im wszystko, co należy do uzdrowiska, po południu udaliśmy się na Chojnik, gdzie jednak zaczął padać deszcz i musieliśmy szukać schronienia w izdebce, niewiele widząc. Pomimo tego byliśmy zadowoleni, bo byliśmy wreszcie razem, a nieliczne widoczne panoramy bardzo ich zaciekały. Wystrzał zabrzmiał przepięknie, wzmocniony przez wilgotne powietrze (*by zademonstrować zwiedzającym echo w górach, oddawano na Chojniku strzały z pistoletów – przyp. tłumacza*). Chłopcy wspinali się najbardziej stromą ścieżką i byli na miejscu o dobry kwadrans przed nami, co samo w sobie bardzo ich rozradowało.

Czwartek, 6. sierpnia

Popołudniem na Wzgórzu Kościuszki, stamtąd wróciłem z chłopcami pieszo do domu. To był cudowny wieczór, sprawiający nam wielką radość. W drodze powrotnej spotkaliśmy kilku przyjaciół, z którymi następnie spędziliśmy miłe chwile.



Chojnik był najczęściej odwiedzanym miejscem przez rodzinę Mendelssohnów w czasie ich pobytu w Karkonoszach



Synowie J. Mendelssohna uwielbiali wspinąć się na Chojnik

Piątek, 7. sierpnia

Byliśmy przy Wodospadzie Podgórnej, a pewien robotnik zaprowadził nas do Seifenfall (*Kaskada Myi* – przyp. tłumacza), idąc bezdrożami i nieprzetartymi ścieżkami; oba wodospady nie są tak piękne, jak te, które już poznałem, ale nowa trasa przez zmieniające się pola uprawne i lasy, śliczne miejsce odpoczynku za gospodą, skąd widzieliśmy Śnieżkę na wyciągnięcie ręki – wszystko to wzmocniło radość z tak spędzonego wieczoru.

Sobota, 8.

Obudziłem chłopców wczesnym rankiem, pogoda była przepiękna, z radością wspinali się na Chojnik i myszkowali do godziny 11 po lasach, wzgórzach i dolinach. Z pewnością sprawiało im to sporo radości, bowiem pozostawieni byli samym sobie i poznali Chojnik jak własną kieszeń. Po południu byliśmy w Bukowcu, pogoda nadal piękna, choć zbierało się na deszcz.

Niedziela, 9.

Zła pogoda. Rodzina udała się do Staniszowa. Ja zostałem w domu, byłem w złym humorze, uznałem, że dla innych i dla siebie samego lepiej będzie, gdy zosta-

nę – a pogoda popsuła się jeszcze bardziej, po południu spadł ulewny deszcz. Wrócili dość szybko, ustaliliśmy, że naszą górską wędrówkę rozpoczniemy w pierwszy dzień dobrej pogody, wczesnym rankiem. Zamówiony był już przewodnik Fiedler – wszystko zależeć będzie od pogody.



Do Staniszwowa rodzina Mendelsohnów udała się bez Josepha

Poniedziałek, 10. sierpnia

Wstałem o godzinie 4.30 i stwierdziłem, że góry i horyzont są bezchmurne, zdecydowałem więc, że wyruszamy. Zbudziłem rodzinę i rozpoczęliśmy wesołe, niecierpliwe przygotowania. O 10 wyruszyliśmy powozem do Petersdorff (*Piechowice* – przyp. tłumacza), o 12 byliśmy w witrioletni, którą szczegółowo zwiedziliśmy, o 1 dotarliśmy do Wodospadu Szklarki, o 2 zjedliśmy obiad w Szklarskiej Porębie. Do tej chwili towarzyszyła nam piękna pogoda, słońce oświetlało wodospad, podkreślając jego piękno. Jednak wkrótce zachmurzyło się i zaczął padać deszcz; wędrowaliśmy podmokłymi, stromymi i uciążliwymi ścieżkami przy coraz silniejszym deszczu aż do godziny 7, kiedy to dotarliśmy do Neue Schlesische Baude (*Schronisko na Hali Szrenickiej* – przyp. tłumacza). Było już niemal całkiem ciemno, otaczały nas gęste chmury, nic nie było widać na dwa kroki. W schronisku było straszliwie gorąco na zewnątrz – mokro, perspektywa noclegu nie była wesoła. Wkrótce jed-

nak przywykliśmy do panującego w izbie gorąca i staraliśmy się wraz z całą rodziną i naszą grupką tragarzy (a było ich pięciu) robić dobrą minę do złej gry; zjedliśmy kolację. Rozpoczęła się dyskusja, czy powinniśmy nocować na przeznaczonych dla wędrowców pryczach z sianem w mocno nagrzanym pokoju, czy też spędzić noc na nieszczelnej, mocno przewiewnej podłodze, wyścielonej z rzadka sianem. Starsi opowiadali się za pokojem, młodzi – za podłogą, zdanie starszych przeważało. Nie minęła jednak godzina, a wszyscy już żalowaliśmy, że nie posłuchaliśmy głosu młodszych: duchota była nieznośna, powietrze zaś jak u boga Mefitisa: w każdym razie o spaniu nie mogło być mowy. Nastroje w naszej grupie poczęły dopasowywać się do fatalnych warunków pogodowych.

Wtorek, 11. sierpnia

Wszyscy z radością powitali nadejście dnia, wstaliśmy wcześniej, niż stali mieszkańcy domu, jednak na zewnątrz czekała nas niemiła niespodzianka: zostaliśmy wchłonięci przez całkowicie nieprzenikliwą mgłę, nie widzieliśmy chłopów, którzy stali o kilka kroków od nas. Staraliśmy się pocieszać i krzesać w sobie nadzieję, wkrótce dołączyli do nas również gospodarze i przewodnicy, którzy stwierdzili, że dobrze byłoby poczekać kilka godzin, bowiem w okolicach południa powinno się wypogodzić. Na razie jednak na dworze nic się nie zmieniało, nie chciało nam się nawet wychodzić ze schroniska. We wspólnej izbie uruchomiono dwie wielkie maselnice, a ich głośnie trzeszczenie było dla nas trudne do zniesienia. Były to bardzo nieprzyjemne godziny. I nawet książka z legendami o Duchu Gór, z której



Duch Gór w XIX wieku już nikogo nie przestraszał

czytał jeden z przewodników, nie poprawiła nam humorów. Koło godz. 10 nagle pierwsze promienie słońca: mogliśmy zobaczyć, ile pięknych widoków zasłoniła nam wcześniejsza mgła. Radość trwała krótko: po kilku chwilach znów nadciągnęła gęsta mgła. Postanowiliśmy jednak ruszyć w dalszą drogę, wędrując bagnistymi ścieżkami w przemoczonych ubraniach i butach w kierunku Frauen- und Quarksteine (*Mendelssohn prawdopodobnie się pomylił, jego „Frauensteine” odnoszą się do grupy skalnej Trzy Świnki; Quarksteine to Twarożnik – przyp. tłumacza*), położonych poniżej Reifträger (*Szrenica – przyp. tłumacza*). Był to przygnębiający marsz,

podczas którego nie widzieliśmy nic i zdani byliśmy wyłącznie na opowieści przewodników. W pewnej chwili miałem dość i wyraziłem zdanie, że mądrzej byłoby zejść na dół, a całą wyprawę przesunąć na okres lepszej pogody. Rozpoczęły się dyskusje, przewodnicy byli niejednomysłni i w zależności od tego, czy ich rzetelność

była większa, czy mniejsza, albowiem nikt uczciwy nie mógł proponować nam dalszej wędrówki. Stało na tym, że ruszamy w drogę powrotną i drogą wytrasowaną tyczkami zesliśmy do Alte Baude (*Schronisko pod Łabskim Szczytem* – przyp. tłumacza). Ledwo ruszyliśmy – zaświeciło słońce, a odsłaniające się przewspaniałe widoki osłabiły nasze przekonanie o konieczności powrotu. Rozłożyliśmy się obozem, ciesząc się słońcem i podziwiając cudowną panoramę. Trwała zażarta dyskusja – Fiedler i dobry duch naszej grupy kazał nam uznać postanowienie za ostateczne, ruszyliśmy w dół po łasze śniegu, którą dostrzegliśmy 10 minut wcześniej, w kierunku schroniska pod Łabskim Szczytem i wreszcie o godzinie 2 dotarliśmy do schroniska. Zjedliśmy obiad, pogoda wprawdzie była niepewna, ale na tyle dobra, by z tej wielkiej wysokości mieć wspaniałe widoki. Przez kolejne trzy godziny schodziliśmy do Piechowic, stamtąd pojechaliśmy do domu. – To był męczący marsz.

Środa, 12.

Straszliwy deszcz, jakże cieszyliśmy się, że nie jesteśmy w górach, z pewnością nie wrócilibyśmy stamtąd cali i zdrowi. – Po południu, gdy deszcz nieco zelżał, poszliśmy z dr. Müllerem i chłopcami do Podgórzyna, gdzie zwiedziliśmy fabrykę papieru, w której akurat trwał przestój, zmieniano bowiem koło młyńskie. – Mąż – żona – ich stosunek – i brak dzieci – organiczny błąd, tak sobie wówczas pomyślałem.

Czwartek, 13.

Zadowolenie. – Po południu na Górze Sołtysiej. – Bezchmurne niebo, cudowny zachód słońca – nowa nadzieja, nowe plany – nowe życie.



W Kowarach Mendelssohnowie wynajęli bryczkę, aby udać się do Starego Zdroju

Piątek, 14.

Ponowne przygotowania do wyprawy w góry. Chcemy przejść grzbietem gór do Altwasser (*Stary Zdrój* – przyp. tłumacza), a pojazd wynająć w Schmiedeberg (*Kowary* – przyp. tłumacza). Piękny, żywy dzień z dobrym nastrojem i miłymi perspektywami. – Dokładnie dziś, w dniu przygotowań do wędrowki, mija miesiąc, od kiedy wyjechałem z Berlina. Koszty łącznie z podróżą wyniosły 440 reichstalarów. Dodając to, co chłopcy wydali w Berlinie podczas mojej nieobecności oraz podczas podróży tutaj, wychodzi 540 reichstalarów – a więc niewiele więcej, niż wydałbym, pozostając w domu.

Sobota, 15.

Pojechaliśmy do witrioletni, gdzie dotarliśmy kwadrans po 9 i w radosnych nastrojach ruszyliśmy w drogę. Karawana była potężna, poza 2 tragarzami dla mojej małżonki, jeszcze przewodnik Fiedler z siostrą, dorosły tragarz i chłopczyk, w sumie więc dwanaście osób. Przeszliśmy przez Wodospad Szklarki i – stromo się wspinając – przez Szklarską Porębę, docierając do schroniska pod Łabskim Szczytem o 12. w południe, jedząc tu obiad. O 1.30 kontynuowaliśmy naszą wędrowkę i po dobrym kwadransie dotarliśmy do źródeł Łaby ze studnią, obok której mur oraz 2 surowe kolumny, ustawione na pamiątkę pobytu tutaj dwóch arcyksiążąt CK (*chodzi o wizytę króla i arcyksięcia Józefa, palatyna Węgier w 1804 r. oraz arcyksięcia Rainera w 1806 r. Kolumny zostały zniszczone przed 1840 r. – przyp. tłumacza*). Przekroczyliśmy więc oto granicę Śląska i znaleźliśmy się w Czechach. Napotkaliśmy tu tłumy czeskich przemytników, co w sposób naturalny spowodowało, że zacząłem rozmyślać o sprawach, które zawsze mnie zajmowały.

Naocznie oto mogłem się przekonać, jak działają wszelkie zakazy, dotyczące stosunków międzyludzkich i że poprzez nie osiąga się skutek przeciwny do zamierzonego. – Jak w prawodawstwie, tak w wychowaniu. Przymusem nie można osiągnąć niczego, a dopóki całe państwa i poszczególni ludzie nie zrozumieją, że tylko wówczas będą rozwijać swoje zdolności, gdy wykorzystywać będą siły swoich sąsiadów i bliźnich, dopóty na świecie nie zapanują pokój i dobrobyt. Minęliśmy Szrenicę, zostawiając ją po prawej stronie, wspięliśmy się na Kesselberg (*Kotel* – przyp. tłumacza



Karkonoscy tragarze

cza). Ogród Rübzahla (*właśc.: Rosengarten, ogród różany, cz.: Růženčina zahrádka* – przyp. tłumacza): okrągły plac, otoczony murem z ułożonych jeden na drugim granitowych odłamków, wysokości około 2-3 stóp. Nasz przewodnik twierdził, że nie wiadomo, kto zbudował tę zagrodę i jakiemu celowi miała służyć. Wydaje się, że obiekt służyć mógł do poprawiania modłów przez jakiegoś czeskiego reformatora, którego nauk zabroniono w miastach i który w tym osamotnionym miejscu w górach gromadził wyznawców. Daleko stąd do osad ludzkich, prześladowcy musieli mocno się wysilić, by dotrzeć aż tutaj. – Wspinamy się na szczyt Kotela, skąd przepiękny widok na Czechy, na wieś Rochlitz (*Rokytnice nad Jizerou* – przyp. tłumacza), leżącą u naszych stóp.

Stąd w dół do Kotła Kotelskiego, w którym mieszka myśliwy, i dalej do Panschfall (*właśc.: Pantschefall, Wodospad Panczawy* – przyp. tłumacza), następnie do spływającego do tego samego kotła Elbfall (*Wodospad Łaby, cz.: Labský vodopad* – przyp. tłumacza). Leżąc na brzuchu i wychylając się nad przepaść, z ledwością można dostrzec, gdzie się kończy. Nie mieliśmy czasu, by zejść na dno kotła, skąd sam wodospad i straszliwe skalne ściany byłyby lepiej widoczne. Kocioł jest tak głęboki, że znaleźlibyśmy o wiele niżej od otaczających go ścian skalnych: pracujący przy sianie na dnie kotła ludzie wydawali się być wielkości wróbla. Musieliśmy się spieszyć, gdyż od północy nadciągały ciemne chmury, mogące nas pochłonąć. Oddaliliśmy się od wodospadu ledwie o kilka minut, gdy chmury dotarły do nas i opadły na dół kotła, pozostawiając kilka prześwitów, przez które widzieliśmy żyzne doliny czeskie: całość sprawiało wrażenie kolorowego obrazu z krajobrazem, ujętego w ciemne ramy – prześwity szybko się zamknęły, po 10 minutach cała panorama zniknęła, jej miejsce zajęła ciemność i mgła – widoczność spadła do ledwie 3 kroków. Odeszła nas wszelka radość, a Duch Gór po raz kolejny z nas zakpił, bowiem po 3-4 godzinach naszej wyczerpującej wspinaczki, gdy zaczęliśmy cieszyć się okupionymi zmęczeniem wspaniałościami – znów nadciągnęła mgła, zakrywająca wszelkie widoki. – Tak więc już drugi raz naszą górską wyprawę popsuky nadciągające chmury, jednak dla mnie zjawisko to było bardzo ciekawe i pouczające. Na nizinach, gdzie się urodziłem i mieszkam dotychczas, nie można zbliżyć się do chmur, widać je wyłącznie z oddali, a poczuć można je wyłącznie w formie kropli z nich spadających. Tu, w górach, chmury żyją, widać ich ruch i działanie, ich warsztat, człowiek jest w ich wnętrzu, stąd nieść będą dobro i zło, błogosławieństwo lub przekleństwo dla dużych grup ludzi. Na nizinach wiemy, że wzniesienia są suche, a obniżenia – mokre, natomiast w wysokich górach jest odwrotnie. Chmury powstają na średniej wysokości w wielkich rozpadlinach, ciągną w formie lekkich mgieł w ku górze, więc szczyty gór rzadko tylko pozostają bezchmurne. Gdy chmury w wyższych partiach zgromadzą się i stężeją, wówczas z wolna schodzą niżej, aż po doliny i tam zmieniają się w deszcz. Natomiast w wysokich partiach niemal nigdy nie występują deszcze ulewne, a najgęstsza mgła zamienia się tam w drobniutki deszcz, prawdziwe krople

nie tworzą się.

Tak więc otuleni mgłą, wędrowaliśmy wzdłuż krawędzi Kottów, spoglądając w dół, oczekując widoków, na które tak się cieszyliśmy – jednak widać było wyłącznie mgłę. Posuwając się po omacku, przemoczeni do suchej nitki i bardzo zmęczeni doszliśmy do łąki, mijając Madelsteine (właśc.: *Mädelsteine*, Śląskie Kamienie, cz.: *Dívčí kaměny* – przyp. tłumacza) i o godzinie 7 wieczorem dotarliśmy do Pe-



W takich strojach wędrowano w Karkonoszach na przełomie XVIII i XIX wieku

terbaude (*Petrova Bouda* – przyp. tłumacza). Spotkaliśmy tu miłych ludzi, którzy na tym odosobnieniu grali na cymbałkach, skrzypcach i kilku rogach: nasi przewodnicy i tragarze rzucili się – mimo wielkiego zmęczenia – do tańca: było tu wesele i przyjemniej, niż w schronisku Na Hali Szrenickiej, chociaż wyposażenie było bardzo podobne. Jedyna ogólnodostępna izba, w której panowała nieznośnie wysoka temperatura, służyła całej rodzinie oraz gościom za pokój dzienny, jednocześnie, będąc izbą tkacką, i miejscem wytwarzania masła, co szczęśliwie nas ominęło, albowiem była niedziela. – Postanowiliśmy tym razem przenocować na wyścielonym sianem strychu, niewątpliwie lepiej, niż w przegrzanej, dusznej izbie. Jednak gdy od dołu ma się za sąsiadów, od których oddziaływały nas cienkie deski, krowy, muczące i ciężko przestępujące z nogi na nogę, wprawiając w drżenie cały budynek i przynajmniej na myśl trzęsienie ziemi, gdy za bezpośrednich sąsiadów ma się parobków, dziewczki i dzieci, którzy nocą cuchną jeszcze bardziej, niż za dnia i którzy wydają niezbyt przyjemne dla wszystkich zmysłów dźwięki, gdy zewsząd wdziera się wilgotne powietrze, czyniąc siano, na którym się leży, mokrym, to – przy całej miłości do nowinek i niezwykłości – taka noc nie należy do najprzyjemniejszych części wyprawy. Wprawdzie sam przez kilka godzin spałem głęboko, a gdy się obudziłem, poczułem się nieswojo w otaczającej mnie zupełnej ciemności. Członkowie mojej rodziny spali jeszcze mniej, więc przez chwilę rozmawialiśmy, nim ponownie zasnąłem i obudziłem się wielce uradowany, dostrzegając przenikające od dołu światło dnia.

Niedziela, 16. sierpnia

Wstałem w świetnym humorze i szedłem do izby na dole, gdzie był już Benjamin, który obudził się wcześniej i w opustoszałym pokoju zajmował się ziołami, które zebrał w górach poprzedniego dnia. – Jakiż był to dla mnie piękny widok. Pogoda nie zmieniała się od wczoraj: panowała gęsta mgła. Gdy wszyscy już wstali i rozpalono piec, nagrzewając znów izbę do granic wytrzymałości, znaleźliśmy szczęśliwie pokoić, w którym stało łóżko gospodarza i do którego nie docierał żar, płynący z pieca. – Siedzieliśmy tu z kwaśnymi minami do godziny 10, tracąc powoli nadzieję na możliwość radosnego kontynuowania naszej wyprawy, aż wreszcie postanowiliśmy ruszyć w drogę powrotną. Przez ponad godzinę schodziliśmy grząskami, mokrymi ścieżkami, nasze nogi ubłocone były po kostki, następnie przez godzinę przedzieraliśmy się przez porozrzucane kamienie i skały, co wymuszało od nas dużej ostrożności przy każdym kolejnym kroku, a niektóre ścieżki były tak strome, że każdy krok mógł skończyć się nieszczęściem. Były to niewątpliwie dwie najgorsze godziny naszej wyprawy, które na zapamiętam na długo. W chwili, gdy dotarliśmy do granicy lasu na zboczu góry, ciągle jeszcze otuleni mgłą, ujrzeliśmy w naszej dolinie niewielkie pasmo jasnego nieba, co dało nam nadzieję na lepszą pogody – i tak też istotnie było. Zeszliśmy do doliny przez Heyn (*Prziesieka* – przyp. tłumacza) i Giersdorf (*Podgórzyn* – przyp. tłumacza), im niżej się znajdowaliśmy, tym bardziej się wypogadzało, choć góry w dalszym ciągu spowijała ciemna mgła. W Prziesiece zjedliśmy obiad i zrobiliśmy półtoragodzinną przerwę, następnie ruszyliśmy przez Podgórzyn, Sosnówkę, Ściegny, Krzaczynę do Kowar. Pogoda była przepiękna, a wędrówka niezwykle żywa i przyjemna. Na drodze pomiędzy Sosnówką a Karpaczem znaleźliśmy miejsce, gdzie echo było w stanie powtórzyć wyraźnie pięć sylab. Kotlina Kowarska jest jeszcze piękniejsza od Jeleniogórskiej, a cała trasa od Sosnówki należy do najwspanialszych i najprzyjemniejszych, jakie znam. W radosnym nastroju cała karawana dotarła do Kowar, gdzie w (*hotelu* – przyp. tłumacza) Zum schwarzen Roß (*Pod Czarnym Koniem* – przyp. tłumacza) oczekiwały nas miła gospodyni, serdeczne przyjęcie i bardzo dobre pokoje. Tutaj opłaciłem tragarzy i rozwiązałem naszą karawanę. Każdemu z nich wręczyłem 1 reichstalara za każdy dzień, co było królewską zapłatą, choć przecież praca, jaką ci biedni ludzie wykonali, była mordercza, zważywszy, jak bardzo zmęczeni byliśmy my, którzy nie nieśliśmy niczego, oni zaś dźwigali lektykę oraz ciężkie nosidła. Nie mogłem darować sobie tej przyjemności, by nie dać im większego wynagrodzenia, zadowoliliby się 1,8 reichstalara w monecie zdawkowej. Wręczyłem więc głównemu tragarzowi 2 reichstalary obiegowe za całą podróż, chłopcu i dziewczynce 1 reichstalara – w drodze stołowali się na mój koszt, jednak umiarkowanie tych ludzi i niewielkie potrzeby, które łatwo zaspokajali w napotkanych szynkach spowodowały, że ich utrzymanie było niezbyt kosztowne. W Petersbaude (*Petrova Bouda* – przyp. tłumacza) gospodarz miał w zanadrzu kilka butelek wina, jedna butelka dla nas kosztowała 50 czeskich (*grajcarów* – przyp.

tłumacza), a butelka, którą kupiłem dla tragarzy, ku ich wielkiej radości, kosztowała 36 czeskich, wszystko w monecie zdawkowej. – Summa summarum w ciągu tych dwóch dni wydałem 18 reichstalarów, a było nas dwanaście osób.

Poniedziałek, 17.

Doktor (Müller), Benjamin i ja wyruszyliśmy pieszo o 8, przy pięknej pogodzie. Alexander został, by towarzyszyć matce w powozie. – Podejście pod górę za Kowarami zajmuje dobrą godzinę (*prawdopodobnie chodzi o Bobrzak* – przyp. tłumacza), droga i widoki są znakomite, jednak mocno we znaki dał mi się upał, więc wspinaczka mnie zmęczyła. Dotarłszy na górę, szukaliśmy – zgodnie ze wskazówkami Charpentiera² – drogi w lewo, w kierunku Friesenteine (*Skalnik* – przyp. tłumacza). Napotkany po drodze drwal z wozem wyraził chęć pokazania nam drogi, przez kolejny kwadrans schodziliśmy w dół, robiąc liczne przerwy na zbieranie malin i jagód, które rosły tu w wielkiej ilości, docierając wreszcie do Skalnika, gdzie obeznany z okolicą chłopski mentor i jego żona pokazali nam wszystko, co widać było z góry. Był to najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek oglądałem, na wchód i południe całe Karkonosze i Sudety, na zachodzie i północy w głąb Czech – góry Kotliny Kłodzkiej, Zotenberg (*Ślęza* – przyp. tłumacza) i nieskończona różnorodność lasów, pól uprawnych i ludzkich domostw w miastach, wsiach i stojących samotnie chatach (*Mendelssohnowi całkowicie pomyliły się kierunki świata* – przyp. tłumacza). Szkoda, że straszliwie zniekształcony dialekt naszego mentora był dla nas niemal niezrozumiały. Po dłuższym postoju w tym cudownym miejscu zeszliśmy w dół dość niewygodną ścieżką przez las i ponownie doszliśmy do szosy przy zajeździe. Stąd do Schreibendorf (*Pisarzowice* – przyp. tłumacza) przez stary las. W jednej z chałup, w której poprosiliśmy o szklankę mleka, zostaliśmy podjęci wytrawnym (!) winem! Wkrótce dotarliśmy do Bolkenheyn (*Bolków* – przyp. tłumacza), do chaty biednego tkacza, który wraz z ojcem, żoną, kilkorgiem dzieci i dwo-



Żydowski muzykanci grali ochoczo

² Toussaint von Charpentier (1779-1847) – geolog i entomolog niemiecki, autor m. in. książki „*Darstellung der Höhe verschiedener Berge, Flüsse und Orte Schlesiens*”, wydanej w 1812 r., którą Mendelssohn mógł mieć ze sobą.

ma warsztatami tkackimi, zajmował ciemną izdebkę. Zostaliśmy serdecznie przyjęci, podano nam wielki gar pysznego mleka – postanowiłem odwiedzić tych ludzi, jeśli bym tędy wracał i ich znalazł, i sprawić im miłą niespodziankę. Wędrowaliśmy następnie przez kolejne pół godziny, mając wrażenie, że jesteśmy niedaleko Landeshut (*Kamienna Góra* – przyp. tłumacza). Jakież było nasze zdziwienie, gdy zobaczyliśmy drogowskaz, informujący, że od miasta dzieli nas jeszcze mila. Oznaczało to, że również od Kowar dzieliła nas mila, a była już godzina 11. Przyspieszyliśmy mocno kroku i o 12.30 byliśmy nieopodal Kamiennej Góry. Na moście przed miastem zaczepił nas przewodnik (*górski* – przyp. tłumacza), sądząc, że idziemy do Adršpachu. Jednak był skłonny zaprowadzić nas również do Starego Zdroju. Zarzekał się, że wskaże nam prostą drogę przez las, krótszą o całą milę. W rzeczywistości było całkiem inaczej. Droga przepiękna, ale równie pagórkowata jak szosa, która wiedzie przez Gottesberg (*Boguszków* – przyp. tłumacza) i wcale nie krótsza! W mieście odbiliśmy do karczmy. W gospodzie posadzono nas przy jednym stole ze służbą i woźnicami. Radowało nas niezmiernie, że doprowadziliśmy się do takiego stanu, że nie uważano nas za kogoś lepszego. Butelka wina, którą zamówiliśmy dla całego stołu, znacznie podniosła naszą reputację, a żydowscy muzykanci grali ochoczo. Uwaga karczmarki – porównanie z miejskimi muzykantami – sąsiad, również karczmarz, odprawił tych ludzi, a przecież to także ludzie! – Zaskoczyli nas Alex z matką – dostali pokój w domu ogrodowym, do którego również się wprowadziliśmy, porzucając nasze *incognito*. Kawa przed domem, żydowska muzyka. Zostaliśmy do godziny 4, a następnie ruszyliśmy dalej, robiąc krótkie przerwy, aż wreszcie przysiedliśmy na ściętych pniach drzew obok mielerza, następnie wędrowaliśmy przez wysoki las, mijając wysoką górę i przedzierając się przez chaszczę.

Zaczęło zmierzchać, przewodnik śpiewał i gwizdał głośno, zupełnie wbrew swoim zwyczajom – nie wiedzieliśmy, czy nie ze strachu, bowiem takie mieliśmy wrażenie. Niemal w ciemnościach dotarliśmy do Wießenstein (*Biały Kamień* – przyp. tłumacza), nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa, ostatnimi siłami, około godziny 8, dotarliśmy do Starego Zdroju: przebyliśmy 3 mile w 4 godziny. Posłaniec nie umiał znaleźć inspektora zdrojowego Leidlicha, u którego mieliśmy otrzymać informację na temat naszej kwatery. Zaprowadził nas do środkowej części miasta, gdzie usiedliśmy i z przerażeniem dowiedzieliśmy się, że inspektor mieszka daleko stąd, i że przeszliśmy obok jego domu. Wysłaliśmy więc umyślnego, a gdy po pewnej chwili nas zawołał, z ledwością mogliśmy wstać: wszystkie nasze kończyny były zdrętwiałe.

Doczłapałszy jakoś i z radością przyjęliśmy wiadomość, że inspektor przyjmie nas w swoim wytwornym domu, dostaliśmy wygodny pokój, choć przygotowani byliśmy na nocleg w zwykłej chacie wiejskiej. Po półgodzinnym rozpakowywaniu bagaży wszystko się uspokoiło, a kolacja i czyste łóżka wspaniałą nagrodą po wyczerpującym dniu. Nigdy jeszcze nie odczuwałem takiego zmęczenia, nie tyle stopy, co plecy bolały mnie najbardziej, i to przy najmniejszym ruchu i dotknięciu.

Wtorek, 18.

Deszcz – przygotowania do kąpeli leczniczych.

Środa, 19

Duży deszcz. Zacząłem pobierać kąpiele i pić wody. Wieczorem teatr w Waldenburg (*Wałbrzych* – przyp. tłumacza).

Czwartek, 20.

Jeszcze większy deszcz. Wieczorem w Wałbrzychu, przedstawienie.

Piątek, 21

Przejaśniło się. Płynęliśmy łodziami długim kanałem w Fuchsgrube (*kopalnia Biały Kamień, Thorez, Julia* – przyp. tłumacza), prowadzącym do (*Lisiej* – przyp. tłumacza) sztolni. Niezwykła to budowla, świadectwo kunsztu budowlanego oraz górniczego. Kanał ma długość dobrej ćwierci mili, aż po Weißenstein (*Biały Kamień* – przyp. tłumacza). Miejscami jest wysoki na tyle, by siedzieć w łodzi, ale miejscami



Górnika na tle sztybów kopalnianych

trzeba się schylić. – Leży około 20-30 stóp poniżej podstawy góry. Poniżej poziomu kanału występuje podobno węgiel kamienny. W razie potrzeby można skierować wodę do innej sztolni i wydobywać węgiel spod kanału. – Po powrocie był już wieczór (przejazd w dwie strony zajął nam półtorej godziny), udaliśmy się do huty szkła, wypiliśmy kawę w drodze powrotnej do Białego Kamienia i dotarliśmy do domu przy jasnym świetle księżyca.

Sobota, 22.

Przy pięknej pogodzie wyruszyliśmy do Fürstenstein (*Książ* – przyp. tłumacza), ledwo minęła godzina i znów zaczął padać deszcz. Dotarliśmy do Salzbrunn (*Szczawno Zdrój* – przyp. tłumacza), gdzie rozpadało się na dobre. Schroniliśmy się w kościele, akurat odbywał się chrzest u księdza, którego dom spłonął w ubiegłym roku od uderzenia pioruna. Dalej do Książa. Miłe przyjęcie, piękna budowla.

Z powodu ulewnego deszczu niewiele zobaczyliśmy, poza kilkoma salami w zamku, które niewarte były zachodu. Przeczuwaliśmy jednak, że wiele straciliśmy i postanowiliśmy wrócić tu przy ładnej pogodzie. Powrót kolaską – okropnym pojazdem na te dziurawe drogi.

Niedziela, 23.

Niezła pogoda. Wieczorem do teatru, później na bal.

Poniedziałek, 24.

Rankiem niespodziewanie piękna, bezchmurna pogoda, wieczorem wydawało się, że zanosi się na deszcz. O 11 pojechaliśmy do Książa i tym razem spędziliśmy



Według J. Mendelssohna zamek Książ to „piękna budowla” i taką pozostaje do dzisiaj

tam cudowny dzień. Spacer skalnymi wąwozami z Gospody Stara Szwajcarka do Starego Zamku (*Stary Książ* – przyp. tłumacza) był niezwykle, choć sam Stary Książ nieciekawym. Widok z pawilonu letniego, a szczególnie z górnej galerii wieży zamkowej jest nadzwyczaj imponujący. Na horyzoncie dostrzec można Wrocław, a być może także Legnicę, Ślęzę z kościołem, a na nizinie – niezliczoną liczbę miasteczek, wsi, klasztorów i pojedynczych domów. W przeciwnym kierunku widać wąwóz, w którym znajduje się założenie parkowe, są to w zasadzie dwa wąwozy przedzielone stromym grzbieciem. W Książu na każdym kroku widać wielkie serce właścicieli, ich portrety, które widziałem w gospodzie i w kaplicy starego zamku, potwierdzają to wrażenie. – Podobieństwo do Bukowca.

Wtorek, 25.

Ładny dzień – nie robiliśmy nic. Dr Müller udał się z chłopcami do Charlottenbrunn (*Jedlina-Zdrój* – przyp. tłumacza), wieczorem wyszliśmy im naprzeciw. Przepiękny zachód słońca, mimo nadciągających chmur.

Środa, 26. sierpnia

Postanowiliśmy wyruszyć o 4 rano do Adersbach (*Adršpach* – przyp. tłumacza), jednak obudzono mnie dopiero o 5, wyruszyliśmy więc dopiero kwadrans po szóstej. Do dyspozycji mieliśmy wurst (*długi pojazd konny używany najczęściej przez orkiestry lub myśliwych* – przyp. tłumacza) i chaise. Ranek był bardzo szary, niskie chmury zakrywały okoliczne góry, zanosilo się na deszcz. Przez pierwszą milę jechaliśmy ciemnym lasem jodłowym, nieustannie stromo pod górę, po straszliwie wyboistej drodze, wyczerpującej dla koni i dla ludzi. Niewielkie były nadzieje na poprawę pogody, jednak im wyżej się wspinaliśmy, tym rzadsze stawały się chmury, zaczęło przebijać słońce. Dotarliśmy do Waltersdorff (*Unisław Śl. lub Kowalowa* – przyp. tłumacza), a okolica – a także pogoda – stawała się coraz piękniejsza, tak więc rozkoszowaliśmy się podróżą, atrakcjami Adršpachu, również podróż powrotna przebiegła bez żadnych zakłóceń. Zazwyczaj udaje się tylko to, co źle się zaczyna, każdy z nas znajdzie przykłady z własnego życia na potwierdzenie tego, że prawdziwe przyjemności, radości, szczęście znajduje się tam, gdzie początkowo wszystko zdaje się działać im na przekór, ze strony, z której najmniej się tego spodziewaliśmy; natomiast najwspanialsze, idealne początki wiodą do porażki.

Kamienny las koło Adršpachu nie da się opisać, ani z niczym porównać. To genialne dzieło natury, tworzone w przyływie dobrego humoru. Przywodzi na myśl szekspirowskie spektakle. Pełne wesołej jowialności, ironii, olbrzymiej siły, zabawiającej się ogromem – przeplatane straszliwą, przejmującą powagą. Kto nie widział Adršpachu, ten nie będzie w stanie mnie zrozumieć, a kto to widział i zna Szekspira, ten być może zrozumie moje porównanie. Wodospad w skalnej jaskini – niekończące się, delikatne echo. Również okolice Waltersdorff (*Unisław Śl. lub Kowalowa*

– przyp. tłumacza) należą do najpiękniejszych, jakie tu widziałem. Myślę, że będę lepiej rozumiał i odbierał pejzaże malarskie, bowiem zaczynam przeczuwać, jaki celu stawia sobie ten gatunek sztuki.

Czwartek, 27. sierpnia

W Charlottenbrunn (*Jedlina-Zdrój* – przyp. tłumacza) – ulubione miejsce wypoczynku Garve’go, choć ławka na prawo jest jeszcze piękniejsza (*Christian Garve – urodzony we Wrocławiu filozof okresu późnego Oświecenia, przyjaciel ojca Josepha Mendelssohna. Był częstym gościem w Jedlinie-Zdrój* – przyp. tłumacza). Przepiękny widok na niewielką dolinę i leżącą tam wieś. Wspomnienie Garve’go było dla mnie bolesne ze względu na jego dotkliwą chorobę, która dręczyła tego człowieka przez wiele lat (*Garve cierpiał na raka policzka, choroba zniekształciła jego twarz* – przyp. tłumacza). Jakże często w tym przepięknym miejscu musiał rozmyślać o swojej spodziewanej śmierci, jak bardzo jego życie musiało mu ciążyć. Wołałbym nie znać historii tego człowieka. Był wspaniałym, myślącym i empatycznym człowiekiem. Jego smutny los przepełnia mnie gorczyzą.

Piątek, 28. sierpnia

Przygotowania do wyjazdu XXX – dziwne! (*Mendelssohn zapisał trzy przekreślone kreski – znaczenie tego symbolu jest niejasne* – przyp. tłumacza).

Sobota, 29.

Wyjazd ze Starego Zdroju. Ja pojechałem z żoną, dr Müller i moje dzieci poszli pieszo przez Grissau (*właśc.: Grüssau: Krzeszów* – przyp. tłumacza). Przyjazd do Kowar, zostaliśmy odprawieni z kwitkiem z gościńca madame Sussenbach, szukamy innej kwatery, nie znajdujemy, wreszcie zostajemy przyjęci w naszym uprzednim miejscu zakwaterowania. Do izby gościnnej, w której siedzieliśmy, dotarli bardzo wyczerpani piechurzy – wielka sala, otwarte okna. Znajdujemy nowego tragarza, Fiedler nie mógł przybyć.

Niedziela, 30.

Pochmurno, bardzo deszczowo. Ostatnia szansa, by tym razem wejść na grzbiet Karkonoszy, przepadła – do kościoła katolickiego, sporo przy tym przemyśleń. Wyjątkowo nędzne kazanie. Całkiem rozwodniona, pozbawiona smaku strawa duchowa, a dla ciała najwyżej ziemniaki – jakich ludzi to kształtuje? – Postanowiliśmy o podróży powrotnej do Cieplic, trzeba było ostatecznie zrezygnować ze zdobycia Śnieżki; bardzo mnie to dotknęło, miałem nadzieję uzupełnić moją niewielką wiedzę o Karkonoszach i ukoronować ją. Tak więc rzecz od dawna wymarzona, przygotowywana i zrealizowana pozostała niedokończonym fragmentem. Pocieszam się tym, że mam jeszcze tyle sił witalnych, by spróbować raz jeszcze w kolejnych latach oraz postanowienie ponownego przyjazdu wówczas, gdy będzie to możliwe.



Kiedy Gryfów Śląski odwiedzili Mendelssohnowie miasto było pogrążone w żałobie po śmierci burmistrza

Wyruszyliśmy (z Kowar – przyp. tłumacza) i wieczorem dotarliśmy do Cieplic. Niebo się przejaśniło (?), być może góry będą widoczne. Podwójna przykrość.

Poniedziałek, 31. sierpnia

Tragarz, który poszedł do domu i był zamówiony na dzisiejszy ranek, by służyć piechurom za przewodnika, nie dotarł. O godzinie 7 przybył inny przewodnik, wyruszyli z nim w kierunku Świeradowa i Herrenhut. Z radością obserwowałem ich wymarsz, to był szczęśliwy dla nich czas.

Tutaj zrobiłem rozliczenie i stwierdziłem, że od wyjazdu wydałem około 800 reichstalarów. Suma ta nie zawierała tego, co wydali dr Müller i dzieci od 14. lipca do ich wyjazdu i podczas podróży. Łącznie byłoby to bowiem około 900 reichstalarów. – Nie oszczędzałem ani sobie, ani najbliższym niczego, jeśli chodzi o wygody podczas

tej podróży, a ponieważ wydałem jedynie ok. 150 reichstalarów więcej, niżbym wydał, spędzając ten czas w domu – byłem zadowolony. Nigdzie w Niemczech 6 osób nie byłoby w stanie podróżować przez 7 tygodni w tak dobrych warunkach, każdego dnia wybierając się na wycieczki i korzystając ze wszystkich dostępnych propozycji (*turystycznych* – przyp. tłumacza). – Nasze mieszkanie kosztowało nas ok. 1 reichstalara 18 sgr. (*srebrnych groszy* – przyp. tłumacza) dziennie – obiad i kolacja łącznie ok. 3 reichstalarów, wóz na pół dnia 1 reichstalara, na cały dzień 1½ reichstalara, lawa we wszystkich restauracjach 4 sgr., – a wszystko było dobre i smaczne. To ceny z Cieplic. W Starym Zdroju wszystko było około 25% droższe.

Około godziny 9 wyruszyłem z Cieplic. Do Greiffenberg (*Gryfów Śl.* – przyp. tłumacza) ładna droga, ciągle jeszcze widać było Karkonosze. Na niebie ciężkie chmury: drobne pocieszenie dla mnie, bowiem jakże byłbym nieszczęśliwy, gdyby widoczny był cały łańcuch górski, od którego się oddalam? – Niedaleko Gryfowa w odległości 15 minut dojrzelismy Greiffenstein (*Zamek Gryf* – przyp. tłumacza). Nie pojechalismy tam, bowiem nasz zaprzęg nie nadawał się na takie drogi. – Przewodniki, które wiozłem ze sobą, nie wspominały o tym zamku, pomyślałem sobie, że najpewniej najpiękniejszy jest widok z oddali. Na milę przed Gryfowem napotkany przypadkowo człowiek powiedział mi, że dyrektor miejski Gryfowa (*odpowiednik burmistrza* – przyp. tłumacza) zmarł nagle tego ranka. Mówił o tym jak o nieszczęściu, które dotknęło całą okolicę, nie miał najmniejszych wątpliwości, że ja – jako zupełnie obcy – również podzielam to przekonanie. W samym Gryfowie, w gospodzie, mówiono o tej śmierci z takim samym smutkiem, całe miasto pogrzyżyło się w żalobie po tej nieoczekiwanej śmierci. Żaden pomnik nie opisałby mi lepiej tego człowieka – jakże wybitnym musiał być człowiekiem ten, któremu powierzono administrowanie miastem, a którego opłakiwali wszyscy mieszkańcy, wspominający jego rzetelność i miłość do miasta, i którego śmierć odczuwano jako powszechne nieszczęście. – Czy takie przypadki są częste?

Z Gryfowa do Lubania. Granica pruska bezpośrednio u bram miasta (*Lubań, członek Związku Sześciu Miast, należał do 1815 r. do Saksonii* – przyp. tłumacza). Rynek przed miastem i w mieście. Szosa pełna kolorowo i dostatnio ubranych ludzi. Niezwykle ujmujący widok. O milę dalej – Langenöls (*Olszyna Lubańska* – przyp. tłumacza), zachwycająca wieś, ciągnąca się przez pół mili. Krajobraz i ludzie zmieniają się, robi się bardziej płasko, bezdrzewnie, a ludzie ładniejsi, lepiej ubrani, natomiast zanika oryginalność: przeważają rozmyte, niecharakterystyczne fizjonomie. – W Gryfowie kończy się także dobra szosa, ku rozczarowaniu podróżnych. Rząd, który nie dba o drogi, pokazuje że nie zna wartości siły, i że obchodzi się rozrzutnie z siłami i z czasem swoich obywateli. W fatalnych drogach, jakich pełno w Niemczech, a w szczególności w Saksonii, tkwi pierwiastek braku kultury (*państwowej* – przyp. tłumacza), który wyjaśnić można następująco: wolne państwa nie przetrwają długo bez dobrych dróg lokalnych.

W Lubaniu zabawa i tańce na jarmarku.

WRZESIEŃ

We wtorek, 1. września

Rankiem o godz. 6 wyjechałem z Lubania, w południe w Görlitz. Dobre miasto, z porządnym, szacownym wyglądem. Pojechałem do Landschrone (*właśc.: Landeskronen, wzniesienie koło Görlitz, 420 m – przyp. tłumacza*) – z bliska podziwiałem bazalty. Następnie Święty Grób (*zespół trzech kaplic w Görlitz, stanowiących kopię grobu Chrystusa w Jerozolimie – przyp. tłumacza*). Interesująca miniatura architektoniczna. Nie można w taki sposób prezentować religii rozsądku, niewielkie są nadzieje, by takową upowszechnić. Gdyby widok krwawiącego Ukrzyżowanego nie był tak straszny, objawiłyby się dalsze miliony skruszonych chrześcijan. Mimo wszystko taka pozbawiona przepychu i dokładnie skopiowana wizja owej nowotestamentowej historii bardziej mi odpowiada, niż dumne, ociekające bogactwem kościoły. – Tu jest więcej religii.

Zwiedziliśmy też kościół św. św. Piotra i Pawła w Görlitz, jednak bez przewodnika. Być może dlatego, że nie znaleźliśmy w nim niczego godnego uwagi. Wieczór w Neu Kretscham (*być może chodzi o wieś Nowa Karczma – przyp. tłumacza*) – poczmistrzyni i jej córka.

Środa, 2. września

Przyjazd do Drezna – przykrości przed bramą ze względu na żydostwo (*prawdopodobnie Joseph Mendelssohn wraz z rodziną zmuszeni byli do wniesienia tzw. „cła*



Niemile przyjęcie w Dreźnie na długo pozostało w pamięci Mendelssohna

osobistego”, daniny obejmującej wyłącznie Żydów z zagranicy, uważanej powszechnie za dyskryminację i zniesionej w Prusach w 1787 r. – przyp. tłumacza) – zostałem wysłany na pocztę, gdzie zrewidowano moje bagaże, kłopoty, które przysporzyły mi bezsennej nocy i na długo pozostaną w pamięci.

Czwartek, 3. września

Było już późno, gdy mogłem wreszcie wyjść na miasto, gdyż najpierw trzeba było odebrać bagaże z poczty. Spacer po mieście, zwiedzanie ładnego mostu (*Most Augustiański, wysadzony w 1813 roku przez wojska napoleońskie, dziś: Most Fryderyka Augusta* – przyp. tłumacza) wypełniły cały dzień. Wieczorem dotarli nasi piechurzy, co mnie bardzo uradowało. Wędrowali trasą przez Świeradów Zdrój, Liebwerda (*Lázně Libverda* – przyp. tłumacza), Herrnhut i Stolpen, i mieli nam dużo do opowiedzenia, przyjemny wieczór.

Piątek, 4. września do środy, 9. września

opisuję łącznie. W tych dniach nie wydarzyło się nich godnego mojej uwagi, poza Galerią Malarstwa. Nadrzeczne promenady w okolicy nie wywarły na mnie większego wrażenia: z jednej strony – bo zachowałem je w pamięci o wiele piękniejsze, z drugiej – bo miałem zły humor. Drezno przestało mi się podobać, panuje tu zła atmosfera. Czy odczuwałem to jako Żyd, czy ogólnie, jako człowiek, tego sam nie potrafię powiedzieć.

Galeria Malarstwa była dla mnie w tych dniach największym ukojeniem. Sztuka na szczęście nie ma odniesień do otaczających ją ludzi. Inaczej jest z przyrodą. Mimochodem ludzi, którzy zamieszkują jakiś region, odbiera się jako część składową tego regionu, a ludzie z gruntu niemili mogą popsuć wrażenie, jakie robi cały region. Sztuka nigdzie nie jest w domu, a jeśli gdzieś jest, to ja nie znam takiego kraju, w którym byłaby wewnętrznie spleciona z najbliższym otoczeniem (*społecznym* – przyp. tłumacza). Znam ją wszędzie jako coś obcego, dzięki czemu mogę zapomnieć o znienawidzonej, pazernej, pogmatwanej rasie. – Większość czasu w tych dniach spędziłem w galerii, a godziny te należeć będą do najbardziej niezapomnianych podczas całej podróży. Nie potrafię powiedzieć, co podobało mi się najbardziej: w zależności od oświetlenia, od mojego nastroju, ale także od tego, ile czasu poświęciłem danemu obrazowi – raz podobało mi się to, a innym razem inne dzieło. Najmniej porywały mnie obrazy alegoryczne i mitologiczne, nie jestem bowiem w wystarczającym stopniu znawcą sztuki i nie doszukuję się intencji artysty w jego dziele: czy to muzyczny, czy malarskim. Takie rzeczy są dla mnie w sztuce niezbyt jasne. – Nie wystarczy mi piękno formy i barw. Dostrzegłem natychmiast, że Rafael był mistrzem, a sądząc podług niego, być może inaczej ułożyłbym ranking mistrzów malarstwa, niżli czynią to znawcy.

Czwartek, 10., od rana do soboty 12. wieczorem

Zwiedziłem Szwajcarię Saską. Wozem do Grundmühle, pieszo do Lohmen pierwszego przedpołudnia. Następnie wozem do Otterwalde (właśc.: Uttewalde – przyp. tłumacza). Stamtąd doliną do Rathen (nie widziałem Amselthal i Amsloch (Menselssohn ma na myśli przełom rzeki Amsel i wodospad Amseli – przyp. tłumacza), gdzie doszliśmy do Łaby, skąd znowu pieszo do Radenwalde (właśc.: Rathenwalde – przyp. tłumacza). Dalszy ciąg wozem, bardzo złą drogą i po ciemku przez Ziegenrücken. Jechaliśmy przy świetle lamp. Przyjazd do Schandau o godz. 9.30 wieczorem.

11. o godz. 7 rano przejazd do Kuhstall, zwiedzanie, także dużej i małej Winterberg, Prebischthal (okolice Bramy Pravčickiej – przyp. tłumacza). Powrót w pobliżu Prebischkegel. Z Herrenkretscham (właśc.: Herrenkretschen, cz.: Hřensko – przyp. tłumacza) drogą wodną so Schandau, dokąd dotarliśmy wieczorem o 5.30. Na Winterberg Benny spotkał przyjaciół, m. in. Hakego. Przy Bramie Pravčickiej strzelaliśmy. Wówczas na horyzoncie burza. 12. (września – przyp. tłumacza) znów rzeką, zwiedziliśmy Königstein, rozmowny strażnik. Kościół, beczka wina, studnia głęboka na 900 łokci. – W południe w Pirna. – Wieczorem w domu (w Dreźnie – przyp. tłumacza).



Joseph Mendelssohn: „powrót w nasze ukochane okolice przysporzył mi więcej radości, niż się spodziewałem”

Niedziela 13.

Zostałem w domu. Benny i dr Müller ruszyli po obiedzie do Miśni, my z Alexem wyjechaliśmy 14. (*września* – przyp. tłumacza), a 15. przy pięknym księżycu i w zdrowiu na bielarnię. Benny przyjechał 16., gdy siedzieliśmy przy domku wędkarskim, piękny wieczór, róg poczmistrza brzmiał miło, z radością myślałem o dobrym zakończeniu. Znowu byliśmy razem, w zdrowiu i szczęściu. Brak pięknych widoków z naszej bielarni rekompensowała nam przytulność naszej małej ojczyzny, a mówiąc szczerze: powrót w nasze ukochane okolice przysporzył mi więcej radości, niż się spodziewałem. – Nie miałem zamiaru dokonywać porównań, odpoczywałem z radością.

I tak oto przeminął kolejny przystanek mojego życia, który wspominać będę z wdzięcznością. Moi synowie dorastają, nie wiem, czy podróżowanie z dorosłymi dziećmi jest równie wielką radością, bowiem tworzą one wówczas już własny świat. Nie mam więcej dorastających dzieci, tak więc nie widzę okazji, by przeżyć taką radość ponownie. – Być może umrę wcześniej, ale starzeję się niemal za późno, mam jeszcze tyle ochoty i radości z życia, chciałbym zaczynać wszystko od początku. – Gdy dzieci moje pójdą własną drogą i nie będą mnie już potrzebowały – być może ruszę raz jeszcze swoją własną drogą. Mam nadzieję, że powiedzie ona tak, bym od czasu do czasu spotkał się z moimi chłopcami. – Gdybym miał pokusić się o sprawozdanie finansowe z podróży, rzekłbym, że było jak zwykle u mnie. – Wydałem więcej, niż zamierzałem, mimo, że starałem się pilnie liczyć. Od dnia wyjazdu mój majątek został uszczuplony o 1300 reichstalarów, o wiele za dużo! – Czyż nigdy nie nadejdzie taki czas, by wydatki nie przekraczały moich oczekiwań! Niechże nadejdzie tak nieuchronnie, jak nieuchronna jest śmierć.

Zakończono dnia 20. września 1812, na bielarni, w niedzielę przed południem.



ISSN 2449-741X